Stefan Grabiński.

Lour, s. 112

– Saturnin Sektor. –

Powyższa nowela pozostała Autora ukazuje się równocześnie w druku w zbiorze p. n. „Szarlatan" Stefan Grabiński nakładem Wydawn. Książki wydawniczej.

Ktoś mnie rozpatrzył! Ktoś wytropił! Jak ryjąc [illegible]-
liniowy, tak obcy głosowi światła – a przecież znalazł
się ktoś, co mnie śledzi z daleka. I powoli formuła
wyłonił się fakt w bliskiej ze mną styczności, ze mną
„obłożonym", jak orzekli ludzie wstrętni, szubrawiec.
Szczególne, szczególne!....

Z jednym z pierwszych dzienników spotkałem się
pod datą 20. lipca t.zw. bieżącego roku (mówię jak
trybem) znamienny artykuł p.t. „Ewolucja Czasu".
Autor podpisał się inicjałami S.S. Rozprawa pisana
ciężko, mocno i pełnie, jak na tych przykładach, co kneipko
trzymają się „życia" i w „rzeczywistości" wierzą jawnie.
Wartość jej dla mnie zadna – punkt widzenia oczywiście „realny", z tej strony zgoła wzgardy. Panegiryk
dla ludzkiego intelektu i jego wytworów.

Lecz obchodzi mię z innych względów. Artykuł jest wy-
raźnie skierowany przeciwko mnie, przeciwko moim przekonaniom
o t.zw. czasie. Niemamy autor pisze jakby obrońca czasu
usiłujące zbić moje rozumy, które zdają się mieć doskonałe

Ale skąd? W tem moment tajemnicy.
Nigdy ani słowa nie rozmieniłem z nikim na temat
czasu i jego nieistności, nie ogłosiłem ani jednego
odczytu, nie wydałem najmniejszej broszury ni książki.
Rozprawy mojej „O fałszywem pojmowaniu (t. zw.) czasu i jego
fikcyjności" nie czytał nikt na świecie. O istnieniu jej
dobrej prawy nikt nie wie, nie może wiedzieć. Żaden z nie-
licznych znajomych, którzy i tak po mym powrocie z do-
mu zdrowia usunęli się odemnie skrupulnie, nawet nie
przypuszcza, że wogóle tym problemem kiedy kolwiek się
zajmowałem. Owoc kilkuletnich myśl rozmyślań spoczy-
wał cicho w ciemnej ciemnej teczce tu w biurku, w tajem-
nej skrytce na prawo, dokąd nikt się bez mej wiedzy
nie dostanie. To wykluczone. A jednak ten człowiek mó-
wiąc treść manuskryptu, umie go naprawić, na wzgl.
Z jestem zbić mój, jak się wyraża, „pogląd" - głupiec! -
mojej głupość. Nawet powyższe myśli ten sam, nawet kontr-
przykłady czerpane z tych samych dziedzin. Przeciwnik pod-

chwytuje me zwroty, definicje, pseudonimy świeżo przeze mnie odkryte wartości i pojęcia na swój tryb, pseudowuje bezwstydnie na swój model wyniki i wnioski badań mojego całego życia. Słuszne, to, słuszne, oczywiste!

Więc chyba wyczuł mnie jakimś sposobem, wyczytał myśli mi z oddali i odpowiedział na nie zerowaniem swoją.

Musi zatem istnieć między nami jakiś tajemny stosunek jakaś więź duchowa, która umożliwia coś podobnego.

Ach Lecz ja sobie tego wcale nie życzę. I nie lubię, by mnie ktoś podpatrywał choćby bezwiednie, choćby na odległość. Istnienie tego człowieka jest mi bardzo nie na rękę i postaram się go usunąć za wszelką cenę.

Narazie nie wiem o nim nic. Byłem już w redakcji dziennika i wypytałem wprost o nazwisko autora. Odpowiedziano mi, że go nie znają. Rękopis przysłał ktoś podobno, ktoś mieszkający w miejscowości Lecz bez podpisu – były tylko inicjały T. S. Artykuł był ciekawy, poruszał temat aktualny traktowany naukowo, we formie zwięzłej, bez zbędnych ozdobników.

Moja prawda – a może kłamię – tajemnica redakcyjna.

Lecz mi nie wyjdzie! Odmawiają go prędzej, później – nie w myśl tego w mój sposób. Mam na stałą ich pomoc: tajemną, niewidzialną dla oka „zdrowych". Odwiedzają mnie niemal codziennie i wiodą długie, poufne rozmowy. Dostęp do mnie ułatwiło im nie „obłąkanie"....

Czyż ludzie „zdrowi", „normalni"! Jakże mi ich żal serdeczny! Nie znają niczego innego, prócz bytu cielesnego poznania. Trzymają się tylko oburącz „rzeczywistości" i jasnego światła nie widzą. Ślepcy dobrowolni, dopóki im „śmierć" nareszcie nie otworzy bram, co wiodą na tamten stronę. Nabici do nielicznych rybników, którym wolno bezkarnie pływać z jednej w drugą dziedzinę. Dzięki temu „obłąkaniu" stanąłem na wyżynie obok świątyń. Może właśnie dlatego wydaję się innym, abnormalnym, szalonym. Może właśnie dlatego przestałem z premedytacją swojego i ciemnego ich „intelektu". Twory ich są mi obce i obojętne do niczego. Przeszłość dla mnie nie istnieje.

A jednak coś pozostało jeszcze z pomysłów tej strony: nie mogę zdobyć się na zatratę pewnego przedmiotu, który wciąż

jasne promienia do mnie głosem mocnym, rozkazującym,
potężną lekcemaigio ~~[illegible]~~ krystaliczną przeźroczystością przedmiotów,
mgły tęskniącej nudą długich, bez końca gościńców.
Dlatego nie jestem cygańskim słuchem tylko „obdzwaniającym dziecięciem", czemś, co włóczy się normalnych dzieci, przygody lub strach. Ten się nie skarżę. Łączę się z tymi nie inaczej zdrowymi mózgami.
Przedemną rozwierają się krainy odległe, zamglone, pomarańczowe głębie nieznanych światów, przeprzeświecanych.
Wariacje mnie porywają małych, dziwnych, fosforyzujących stworów, kapryśnie jaśniejących żywiołów. Wyłaniają się jedne, odchodzą drugie – lotne, śliskie, groźne.....

Któraś z fal tworzą wyrzuciła na próg mego domu postać nową – dotąd nie znam „rozgwiazdy", czy z tamtego brzegu.
Przychodzi niewolno, niewidocznie, jak i skąd, stoję obok mnie i zgadnąć się ze mnie godzinami bez słów

Wygląda trochę dantyemię. Twarz czynska, ogolona bez śladu zarostu — twarz śniada, niemal szara. Wiek nieokreślony: czasem wygląda na lat 50, czasem na 100 lub więcej; maska mieni się gwałtownie. Jednak czuję, że mam to boję ewidentnie bardzo stary.

W ręce prawej trzyma kosę, w lewej ~~maty~~ klepsydrę, którą od czasu do czasu przewraca przed oczami, badając położenie piasku.

Trudno mi było wyjrzeć i na pytania mi ~~dać~~ dawał odpowiedzi. Dopiero po dziesiątej z rzędu próbie udało się wejść w pogawędkę. Śmierć z pewnością okropnie dużo, bo gość miał natłoczony i nie ma wątpliwy.

— Odłóż kosę — zachęciłem go na początku. — Tyle lat dźwigasz ją niepotrzebnie; dziś już nie sprawia należytego wrażenia — stała się martwą wspomnieniem dantyemem.

Twarz gościa skrzywiła się w złośliwy grymas, a ust wydarł się cienki głos drewniany, bez dźwięku:

— Tak sądzisz? Ja myślę inaczej. Jestem Temps.

— Domyśliłem się. Witaj Saturnie! Czemu zawdzięczać mam twoje przybycie?

Głos odezwał się niemiecko prosz bezgłosem dwojest:

— Szukasz mnie od pewnego czasu. Więc jestem.

— Ciche .... niema. Jesteś urojeniem.

— Ucieleśniłem się, jak widzisz. Ludzie zbyt długo mówili o mnie — jestem przeto przybyłem siłą. Wyrwano mię z niebytu.

— Możliwe. Lecz ten strój? Trzeba za staromodny. Przyjacielu mój kochany.

— Nie mi się zdaje. Trzeba szczególnej zaklętej alegorii. Arenty może ludzkość przyoblec mię w nowe szaty. Czas nawet po temu najbardziej. Te tachmany jużmi się sprzykrzyły. Wyglądają na anachronizm.

Ten ~~strój~~ szarpuch prozaicznie jakoś mówi jużmi przetarte togi.

— A widzisz przyjacielu, że miałem racyę.

— Po części tak, o ile chodzi o strój. Lecz ty prawdę mi za-

znojen mego istnienia wogóle.

— Oczywiście. Jesteś fikcyjny mózgu. Jeśli rozumiesz się kwestyą twego Kostyanna, to czynisz to tylko z punktu widzenia „otoczenia". Przebyłeś gwałtowną ewolucyę, hę? Tak przynajmniej czytałem.

Maska Saturna rozjaśniła się triumfującym uśmiechem:

— A! Czytałeś mię? — Prawda, że pięknie napisane? Tak, tak.... rozumiem się. A Nie pojmują mnie już dzisiejsi ludzie jak starożytni. Stałem się zagadką zmiennej mierzeniny, której nikt nie usiłuje rozwiązać ze wszystkich stron. Ściągnięto mnie do granic minuty, sekundy, zaciągnięto nad każdym momentem. Sprecyzyzowałem się, wysubtelniłem.....

— O tak! Wychudłeś djabelnie! Do wymiarów szkaroubki regana. Obrzeciłeś się tą tajemnicą trwania, znużyłeś cudowną płynność fali — ty jałowy rzeźcia! — krzyknąłem zrywając się z miejsca.

Gość był już w progu.

— Jestem silniejszy od ciebie — usłyszałem głos jego miarowy, spokojny jak mech wahadła. — Bo za mną jest rzeczywistość i zdrowa, praktyczna większość. A tej jestem ~~potrzeby~~ niezbędny. Żegnaj! Odmajdłem mnie z miście w nieco zmodernizowanej postaci.

Chciałem go zatrzymać gwałtem, lecz wyrwał się i znikł za drzwiami....

Na niebie paliła się rozkosz zorza — siedziałem sam z pustym pokoju.....

— — — — — — — — — — —

Od owego wieczora Tempus już się więcej w mnie nie pojawił. Zjednoczył jakiś wstyd, oddalił się bezpowrotnie. Lecz słowa Ignacia nie dawały mi spokoju, brzmiały w uszach natrętnym refrenem!

— Odmajdłem mię z miście.

Co to miało znaczyć? Czyżby wyzwanie do walki?.....

Tymczasem w gazetach zaczęły się artykuły o wojnie

widocznie zwrócone ostrzem wymierzonym przeciw mnie. Wszystkie podpisane tajemniczemi literami S.S. Zorientowały się nad głębokością tego pojęcia, podkreślały bez końca jego wyjątkowość jako czynnika regulującego życie i jego sprawność. I słusznie były to pełny na cześć mojego geniuszu!

Podniecony temi wyjątkami, zbliżałem się w domu na siebie na pięterze, wzmacniając nowymi dowodami swą rozprawę i udoskonalając myśli tam zawarte. Gotowałem się do ataku ze swej strony, czekając na wyzwanie przeciwnika, by wtedy ogłosić światu odpowiedź.

Równocześnie szukałem swego antagonisty. Korespondencjami do pewnego miesięcznika włączyłem się do walki, wysłałem dalsze do Kanady, zawiązywałem znajomości, wyciągając ludzi na rozmowy na temat rasy. Poznałem ~~kilkun~~ w ten sposób kilku profesorów, kilku studyjących filozofów, z jakimi tu-zin pierwszego rodzaju dziwaków i oryginałów. Lecz z żadnym prowadzonych z tymi panami wyczerpującem zawsze nieradow-

lony. Problem zdawał się wprawdzie rozmowcy jak w słońcu wysokim stopniu łatwy nimoto nie wyczerpało się tego rodzaju, jaki miał za sobą salt obiektów. To nie było gmachy; żaden nie wymagał zagadnienia tak osobistego z tak sekciarskiem zapamiętaniem jak tamten nieznany. Powoli odchodzę od przekonania, że wyraźnem na fałszywy tor, że sfera, wśród której należy go szukać, leży trochę „niżej“.....

Zdaje mi się, że nareszcie jestem na właściwym tropie. Od wczoraj wieczorem.....

Po całodziennej wędrówce wracam do domu. Idę starą dzielnicą miasta rozciągniętą ponad rzeką systemem wyboistych uliczek zmierzających ku wodzie. Przecinam je w poprzek, prawie że w górę linią kolistą. Nadeszły przeglądają z ponad jednostajnych ścian obdartych kamienic skroń nieba wieczornego pokryte dymami kominów. A okna wychylają się stęchłemi, blade twarze, wczo-

chwane gdzieś starych miedzin, gdzieś rakiste ocy kapłanych starców....

Potykając się o wybój bruku, skręcam w wąską uliczkę i spoglądam w dół. Tam — daleko, na wylocie prawem kłania się w ogonie rozchodu powoła, błysnęły migotem fal smutny jasność rzeki. Gdzieś w górze, z jakiejś rozpadającej się nory gwałtownie się stado wron i jątrzących wyrwało ciężkim lotem łuk nad uliczkę, znikając za dachami domów. Opuszczam wzrok niżej, na poziom pierwszych pięter i spoglądam zmęczonemi oczyma bezradności oficu. Zgrojenie atłasu na jakiejś wywieszce: na zielonem, wypłowiałem tle słuzę ewne litery czyjegoś nazwiska. Patrzę tępo, nie umiejąc złożyć wyrazów. Nagle wyjmuję je: Saturnin Sektor, regomistrz.

Tu mieszkał! To on! Znalazłem wreszcie!

Spokój ogromny wypełnia ~~mnie~~ mi duszę i powoli wracam do siebie!... F...

Brrr zimno! Mieszkam jakoś niedaleko.

Zdaje się nawet, że tu obok – tylko że zasiedlem do domu z innej niż zwykle strony, z tej, której dotąd nigdy nie chodziłem. Po 30. latach stałego pobytu w mieście. Szczególne. A jednak widocznie zdarza się czasem, że człowiek wraca do siebie przez lata całe jedną stroną, przemierza ciągle, ~~nie~~ dzień w dzień tę samą drogę, aż w pewnym momencie znalazłszy się na innym szlaku, ze zdumieniem stwierdza, że wiedzie tu do jego domu – ze zdumieniem człowieka, który innił służbę, służył lata, by pewnego dnia ocknąć się na niemałej drodze do zdobnego wnętrza.....

Tak tedy nazywa się mój przeciwnik i jest regorystą. Naturalnie, że to on, tylko on, nikt inny. Dziwię się tylko, że dotąd na to nie wpadłem. Nazwisko tak mi skądinąd znane, tak bliskie. Nie mogę sobie wprawdzie przypomnieć, skądleż to mi znane w nicem na moje głębokie, niewzruszone przekonanie. Odrazu zrozumiałem, że on jest moim przeciwnikiem, tym tajemniczym nieprzyjacielem, którego szukałem tak długo.

Samo nazwisko tak znaczące! Tyle mówi o sobie!
Zanalizujmy najpierw imię. Saturnin! Czyż nie uderza
wyraźny związek z Saturnem – Czasem? Czyż imię to nie
narzuca obrazu wizji starca z kosą i klepsydrą?
Symbolizm oczywisty.
A nazwisko Sektor – czy nie rozstawiające? Dobrane na-
komicie! Sektor, właściwie Sector – to niby siekący, wydra-
żający na ekspresji, cząstkowy, odcinki. Ale ukryty autoiro-
nii w tym znaczeniu! Czyż Lovelace bezwzględnie dzielący
swym pojęciom czasie, nie jest istotnie Sektorem? Wzruch
zniekształcił oczywistość tworzenia na rzecz matematycznej
abstrakcji, pościgał pędzący, niepodzielny falę życia na
bezlik martwych odcinków. Sektor-symbolizat, wiązący,
dni, godzin, minut i sekund. Zamknął w dziwnych sfera-
rocek cały sens Istnienia, przeczący istocie bytu działalności.
Niebezpieczny ten Sektor-symbol! Spokój życia, ludzkości nie
strzępi się zgrzytem przerzutu i nie pójdzie za nim. Dlatego na-

leży wykreślić z pamięci wszystko to imię i nazwisko moje. Moje?! .... Co za szczególna myśl! Moje nazwisko!... Moje nazwisko... Jak się właściwie nazywam? Jak się nazywam?.... Nie mogę sobie przypomnieć.... To śmieszne, to prześmieszne! To wzbudzające!... Przypomniałem, wyraźnie przypomniałem jak się nazywam. Jestem — berlińczyk — tak! berlińczyk — — jak fala w tonie oceanu — milknie zgłoska, niknie się w drugą, generującą — drugą falę — niszczącą.....

— — — — — — — — — — — — — — — —

Po nocy słotnej, berlińskiej idę do niego. Wiodą mnie schody śpiczaste, miejscami zarośnięte pustką jamy, skrzypiące. Otwieram drzwi i wchodzę.

Ciemny, stary pokój. Nie mogę rozpoznać wyraźnie. Jest ich wiele berlińczyków: czarne z hełmami petrowiańce po ścianach niby wielkie ruchy pokryte, stawiszczące na kolumienkach z kości słoniowej pod szklanymi dzwonami, drzewiane banknoty z interiorów dawnej Francji figlarne, groźno tykające budziki, z misy

wyścielonej zielonej kitajki stoją ciężkie pancerne maski „kieszonkowe" – stoi emaliowana granatnik „cebula" – srebrne, inkrustowane „szpetacy" – kosztowne, z rubin i szmaragd strojne liliputy.

W środku izby stolik z przyrządami zegarmistrza: jakieś skrzynki, obręczki, stosy śrubek, cieniutkich jak włosienie sprężynek, blaszek. Na skrawku zielonego sukna pęk nadwyrężonych lupert, kilka świeżo wyjętych dyamentów....

Na krzeście pochylony nad jakimś zegarkiem siedzi <u>on</u> – mistrz czasomierzów. Oczy ma wielkie z grubych szkieł powiększających, które wypadają skośnie przez oko, obciążając jego twarz. Twarz ma jakoś dobrą. Gdzieś ją widziałem, gdzie – nie pomnę. Może w jakimś lustrze. Siwa, stroma czupryna, ryże faworyty, ostre, szpiczaste rysy.

Podnosi na mnie very jasne, przenikliwe i śmiejące się oczy, drżący uśmiech.

– Chciałby pan oddać zegarek do naprawy.

– Kamień przyjacielu – regarków nie nigwasz od lat dziesięciu. Poco te wykręty?

Głos jego przejmuje mię do głębi; gdzieś go słyszałem i znam doskonale – głos mi nader bliski:

– Wiem, poco przyszedłeś. Oczekuję cię od dawna. Teraz ja cię wysłuchuję.

– Jeśli tak, to sprawa bardzo uproszczona.

– Oczywiście. Stanim spotkanie, coś zamienił, uzgodnił. Pogadamy. Dzisiaj czasu mamy dosyć.

– Naturalnie. Nie spieszno mi.

Siadam i wsłuchuję się w ogromny regarów. Chrobry różnie na minutę, schudł.

– Uregulowałeś w niebie czas ~~jako~~ ~~idealnie~~ idealnie – mucam uwagę na chybił trafił.

Sektor miłości wpatrzony we mnie uporczywie.

– Nie jesteś przygotowany na wszystko? – podejmuję

z trudem wyjęła rozmowę.

– Tak. Nie będę się bronić.

– Głupiego? Masz do tego prawo jak każdy człowiek.

– To byłoby bezecłowem. Czuję, że właściwie i tak nadejście twoje era. Rozpływa przed nieśmiertelnością jako idealny symbol zamknięcia tego ostatecznie okresu. Przeszłości owoc późnej jesieni sam spada z drzewa.

– Kto mnie wezwał mnie?

– Nie. To nie inna. I ty kiedyś ustąpić musisz przed nowym symbolem. Nie zapominajmy o względności pojęć. Wszystko zależy od układu odniesienia.

– Ty taśmie. Mimo to skryła ta pewność, która tchnęła twoje artykuły?

– Wyniknęła z głębokiego przekonania o wyższości tego, co głoszę.

– Ach prawda. Należysz do pokolenia, którego bożyszczem nieskończoność praktyczna.

– Tak, tak. Ty wiesz, gdzie powinien; przynajmniej zdaje ci się tak. I zgadzam się w niejednym moje tchnienie. Ludziom z krwi i kości to nie wystarcza – potrzebują ciała i jego wytworów.

— Mylisz się. Ja tylko pragnę przedłużenia życia. Życie pędzimy szybko, wartko, żyjemy w rytmach zwielokrotnionych tak szybkich, że ich rozdzielanie na momenty jest śmiesznem i barbarzyńskiem. Twoje pojęcie czasu jest już prostem zmniejszeniem go w skali przestrzeni.*

— Czyś nie pisał powieści? Czytałeś słynną „Podróż w czasie" znanego pisarza angielskiego?

— Owszem. Ja właśnie miałem na myśli. Jest najlepszym przykładem, do czego mogą doprowadzić fikcje mózgu ludzkiego. Sam pomyśl „maszyny czasowej" czyż nie obraza zdrowego życia pełnego ciągłych niespodzianek? Otoż skutki zwierzęcej, które na niem wymuszą. Oto zwój, jak się mechanizuje życie.

— Przejęcia pomieść! Wykrzyknął mózgu i jego dumny potężny.

— Czytaj swój kochany. Brzęk spokojny — nikt nigdy maszyny

* Wyraz podkreślone należy skreślić tłustym drukiem. Uważajcie na stylistyczny.

ani w przeszłości ani w przyszłości nie zajęłoby.

— Nie rozumiemy się nigdy. Przez nieczułość! Mimo że jesteśmy nasze tak są ze sobą duchem splecione.

W tej chwili niesamowity dreszcz przebiegł mi ciało. Słowa regamistra szły do mnie jakby z mojego wnętrza.

— Tak.... istotnie. I ja to chwilami odczuwam.

— Gdyby nie to — ciągnął rozpaczliwym głosem starzec — że myśli twoje wyglądają na młody szczęść rozsadzony na moim pniu, gdyby nie to, że przeczuwam ich rozbłysk w najbliższej ~~chwili~~ przyszłości .....

— To co?

— Zabiłbym cię — odpowiedział zimno. — Tam oto rozgościem.

I wydobył z głębokiego pudła cudnej roboty puginał z rękojeścią z kości słoniowej.

Uśmiechnąłem się triumfująco:

— Tymczasem wolę wyjrzeć odwrotnie.

Stawiec pochylił z rezygnacją głową:

— Bo <u>fantazjujesz</u> mnie w sobie.... Teraz odejdź. Chcę spisać jeszcze moją ostatnią wolę. Przyjdziesz dziś wieczorem, żeby to na piśmie odebrać.

I wyszedł mi z oczu.

Machinalnie wyjąłem połyskującą chłodno stal i bez słowa pożegnania odwróciłem. Na schodach dosięgł mię z wystrzałem pracowni ostry, chichoczący skrzyk. Stawiec śmiał się....

*

* *

Dzienniki wieczorne miasta W. ~~z 30 listop. i 1 grudn.~~ podały w dziale kroniki następujący wiadomości:

— Morderstwo czy samobójstwo? —

Dziś rano zaszedł w naszem mieście tajemniczy wypadek przy ul. Wodnej l. 10. Rozalia Witowska, zobaczywszy przez uchylone przypadkowo drzwi swego pokoju, że mąż jej Saturnin Sektor, nadal jego zwłoki na kanapie pod oknem zbrocone obficie rozcięty jugularis krwią. W piersi nieszczęśliwego tkwił głęboko wysterowany rękojeści, antyczny sztylet.

Na krzyk Witowskiej zbiegli się mieszkańcy, wkrótce i policja. Lekarz sądowy, dr. Olminski stwierdził śmierć która prawdopodobnie nastąpiła w wyniku utraty krwi. Śladów krwotoku jakiej kolwiek nie wykryto. Natomiast obok zwłok na stole znalazł agent policyjny Fulgido testament zmarłego i ciężarki papierowej, na której z trudem

rzekomo regarmistrz następujące słowa:

— Winowajcy nie szukać. Ginę z własnej woli.

Wypadek rozbudza wiele rzesz tajemniczych i niewyjaśnionych. Miasto nane obiegają jak najrozmaitsze pogłoski o zmarłym. Podobno sekret sześciu lat jego dobrowolnych, z którego wypuszczono go dopiero niedawno. Dr. Tumin, kierownik zakładu nerwowych na świadka z zagadkowej tej sprawie utrzymuje, że regarmistrz cierpiał już od dłuższego czasu na pewne pomieszanie zmysłów, które na koniec nawet przybierało coraz ostrzejsze formy. Określenie to podzielają również sąsiedzi sektora i współmieszkańcy kamienicy. Niektórzy posuwają się nawet do maniaka. Pomiędzy okresami t. zw. lucida intervalla oddawał się zajęciom zawodowym, spełniając funkcje regarmistrza doskonale; koledzy uważali go nawet

za jednego z najzdolniejszych pracowników.

Ciekawe światło na sprawę mego testamentu mieszczącego. Sektor premiera cały swój pokaźny fortunę na fundusz naukowy ze specjalnem nastawieniem, iż skorzystać zeń mogą wyłącznie badacze problemu czasu i przestrzeni oraz zagadnień z tem związanych.

Równocześnie z tajemniczym wypadkiem przy ul. Wodnej zgłoszono w policji i miejscowej urzędowej prasie sensacyjną wiadomość. Oto pojawiły się na murach miasta drukowane plakaty i ogłoszenia w formie zdobnych kleksydr następującej treści:

— Czas. —

W nocy z Śr. na 30. listopada b. r. zginął bezpowrotnie Tempus Saturni, by ustąpić miejsca nieczystemu Trwaniu.

Drugim, niemniej rozpaczliwym objawem jest fakt,

że wszystkie miejskie zegary naszego miasta z niemanych powodów stanęły. Wskazówki wstrzymały się onegdaj w nocy na godzinie 11.

W mieście panuje ogólne zdenerwowanie i jakiś dziwny, zabobonny niepokój. ~~Ludzie~~ Przerażony tłum gromadzi się na placach publicznych, odbywają się gdzieniegdzie dziwne obrzędy ze świecą zegarmistrza.

Wezwanie.

Stefan Grabiński

— Wezwanie. —

I tak rozbłysło z kolei siódme rano — rozżagnił się krwawy pochodnią morn i zatrzaśnięty dzień siódmy....

Bo już sześć dni i nocy stał w płomieniach nad miastem gniew Boży.... I skamieniał z rozpaczy świat, struchlał zwierz, poszaleli ludzie.

Tak Allah grzmiał, tak się Allah mścił.... — On wielki, On święty, On..... kat!

I znów wstało rano. Pogodne, jasne, syte żarem słońca — jak w dzień pierwszy.... jak w drugi... ... jak.... o Allah, bądź przeklęty!

I dziwy moru poczęły szaleć od nowa. Miotały po mieście zatrute, krwawe turbany, wlokły po ulicach zakrwawione sztandary — i marli ludzie i padał zwierz. I zlękły się dziwy i chciały odejść.

Tak był wzięty szpęt. Lecz Allah poraził je i spędził przemożną trwogą. Więc wrócili.....

I znów szalała zawierucha.....

A niebo było jasne, turkusowe jak błyszczące ziarem źrenice hurysy i jak one palące.... A słońce ziało skwar i gorączkę, zmęczało skórę, parzyło zmęczonych — że wyschły studnie, wyparowały wody i tylko w żyłach tętniła gęsto krew....

Bo był to czas, gdy słońce dosięga zenitu. Od piekielnej spiekoty zbladło niebo, rozjarzyły się do białości mury, powietrze rozpaliła gorączka.

Przyszło przykucnięcie niezbędne, suche jak samum, potępieńczo-grzyzy syn pustyni i nastał kres.... rozrasta się gehenna zbrodni i szału....

Matki ssały krew z nacietych żył dzieci i zoologicznemi posłuszeństwami oddawały się w rozpaczliwej

rządzy przechodniom. Lubieżni starcy rzucali się
z dzikim błyskiem w oczach na młode, nieśmiałe
dziewczęta i zdobywali je z nieobyczajną, szatańską siłą.
W tyle drożnym, w kurnawie gościńców tarzała
się rozpętana bólem, berbarna chuć, przenikała
się w błyskawicznych kłębach trzeźwiała Asztoreth.....
Od czasu do czasu jak z łona morskiego straszne,
zmiażdżone szczęty własnego statku — wyrzucały z rozwścieczonego żywiołu ciała nagie, stale-
śniałe trupy i rozciągały się na ziemi ciche już, stę-
żałe, zimne.....

Grabarze w czarnych, smolnych opończach zabierali
je żelaznym odruchem i wlekli do wspólnego
grobu. Raz tak nie trafił, wrzucając się głęboko
w łono rozdziewiczonej Gruzinki — spostrzegł i zdobył
ją żelazno: z ostrza żywioły w krwawych strzępach
reszty niedoszłego płodu.....

Nad placem, po rozdrożach płonęły wielkie stosy
węgla; starzy ludzie siadali koszmarnie żałobni na
schodach, na drewnianych skrzynkach, na trawach.
Suchy trzask ognia przerywał przerażającą ciszę grozy,
przerywaną krzykiem tłumu tego rodzaju, jakiemu-
mieli świadkami.... Nagle z tysiąca niewidzialnych
ust podniósł się głuchy ~~ryk~~ ryk czy skowyt niby
odruch na sekundę przytajonej świadomości chwili —
— z ponad domów wychodziło się widowisko nienawiści
ryk, splecionych z wrzaskliwym zgiełkiem palców
powykręcanych stawów, przegubów — wydłużało się, wzlo-
tywało bolesną konwulsyą wyciągniętego ciała
i —.... stawało z powrotem na ziemię.... Zachi-
chotały oliwy — — — — —

— — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — —

W pół-śnie, w pół-jawie wgryzł się w zawrotny krater czarnych, rozedrganych myśli. Bił stamtąd trujący, rzygliwy obrzask i zalewał mózg. W zielonawo połyskujących mazgach krwi przeciągały leniwo przeguby strupieszałe glizdowniki — syfy, karbunkuły oczu, piana wściekliźny — małe, drgające języki .....

Poruszał się z otomany ..... jmiesto.
wkradkiem, jak złodziej spojrzał przez okno na rozległy plac.

Pod murami, co ogrodzą na krańcu zamykały, jmiechodziło parę postaci w długich, szarych burnusach, jmigrasko skłębionych niemowy jmieszkodą.

— Kamraci — szepnął — więc jużi i do tego doszło?

No tak .... przecież teraz, to już chyba wszystko jedno...

Znikli za załomem.

Glassan jaśniołt nerwowo ręką po czole. Rozpętane myśli

wspomnienia zaczęły układać się, jednoczyć, zlewać w kontury jaskrawych, nad wyraz dziecięcych obrazów....
---- Trzech ich było, tak trzech a Ibrahim między nimi — Ibrahim, serdeczny druh, przyjaciel drogi — kochany Ibrahim!
Wieczór był ... nie ... późna noc ... wesoło, pogodnie. Gadano ojciec, gawędy, on opowiadał ~~wesoły~~ wesołe anegdoty. Śmieli się, oh jak serdecznie się śmieli a Ibrahim najpierwszy; córkę kochaną, najstarszą mężowi oddawał — dzielny, jasny młodzian; i Fatmę kochał, jak kochał!
Wzniósł puhar:
— Niech im Allah błogosławi!
Nim spełnił, rozległ się mroźny jęk trąby.
— Co to? Na trwogę mierzą? Głosami bracia znać tutaj nowi miastem?
Po twarzach gościa chłodny cień przeleciał. Drzwi z łoskotem

tem otworzyły się i w czeluści nocy ukazała się
bledawa twarz młodszego z synów Ibrahima:
— Ojcze! Groźna choroba w domu!... Fatma!
Gwałtowny ryk puścił mu w gardle... wypadli
i znikli w ciemności. Zostali we dwójkę ber słowa
wymówić wreszcie zwrócili oczy. Tak minęła godzina.
Nagle porwali się jakoś skwapliwie, jakoś
dziko i wrogo i odsunęli się od siebie, kurczowo ze-
warcie trwożni.
W tem Achmet opuścił pokój nie pożegnawszy się—
— pospieszył się rozstać się z swym dziwnym gościem... Hassan
został sam. Nie zamknęli oka, nasłuchując
i ... nie zrozumieli się: trzykroć minęła zabrzmiała
tej nocy jęczące razy trzydzieści. A gdy zgasły
blask kadzideł w oknach, rozgrzała się jeszcze i była
to ich ostatnia ... bo już tchu nie stało piersiom
mierzyć ... odtąd cicho już było na galerji mię-

. retu i beztłosnie jiri ogusty dusze .....

jakaś niezmierzona chęć wlokła go do wysoko sklepionego okna od strony skweru; w tej chwili skwer był pusty: spalony bezustannym słońcem dawił, pożółkłe wysuszone szkielety kwiatów i fontanna ..... zatruta...

Hassan czekał.

z głębi szpalerów cyprysów wysunęła się gromada publicznych kurwy. Poznał je po jaskrawych, charakterystycznych strojach, po silnej barwiczce twarzy. Szły bezładnie z bezdźwięcznym pohukiwaniem tyjąc. Twarze tatuowane gorączką, oczy osnute dymem śmierci wychodziły niemal z orbit. Na czele pół obnażona cudnej budowy kobieta; purpurowa szata lekko ściągnięta na biodrach koralowej spinką wstrzęsła się krwawo wokół lędźwi jasnej modzy. Twarzy zwróconej w stronę pustyni na nikt nie widział.

Kobiety zbliżały się z coraz wyraźniejszym krzykiem.

Spotkały się wyobraźnie w przestrzeni. Ryby znajome, niegdyś drogie, wielbione... Konrad Zulimę, czarno-włosą kochankę lat młodych, teraz żyjącą kobietę a za chwilę....

Kasper dostał w tyle głowy szczególnego wrzenia. Przez sekundę zdało mu się, jakgdyby cały miecz pawiera wcisnął mu się pod czaszkę..... Zulima spostrzegła go i na moment przystanęła nie mogąc jednak opanować spazmatycznych ruchów ciała, które drgnęła już piekielna chorobą!

Hassan usiłował odejść w głąb mieszkania lecz żelazne rozkazanie przykuło go do framugi. Przód postać skurczył w kłębek: odtrąciła się od reszty i najprędzej jak mogła zmierzała ku jego ~~memu~~ oknu.....

— Kochanku mój, panie mój idę ku tobie przez ogień, płonę ku tobie przez ból.... Piękna jestem lubieżnie śmiertelnie wyprężona stałem. Kochanku mój, kochanie mój gorący, jak płonę cała! Piersi me kłują jak ostre granaty w źrenicach się srebrzy kryształ. W włosy me wonne

jak cedry Libanu, wonią mirry i kadzidłem mi pachną...

Kochanku mój, faryzeusz mój stołem jest świeża nacięta, spragniona łoża Edenu... och jak spragniona!...

Daj mi z tej Twojej ręki, z tej Twojej szerokiej... Tam słońca krwawy zgon smagnął morza fioletem: już czas!... daj mi! ... Barwnych szat nucimy rozpięty pieśń miłości, płomienną pieśń rozkoszy!...

Kochanku mój, faryzeusz mój dojdę ku tobie jutro szat, idę ku tobie na skon....

Już była pod oknem. Wyjęła z ostatkiem sił na podmurowanie.... Oczekuje. Okno było otwarte, rozmyślać już nie mogła. Poczuła stalowe ołówki. Chwyciła za obydwa skrzydła, usiłując pchnąć na zewnątrz. Całym ciężarem ciała wsparła się na nich, prąc ku wnętrzu. Rozpoczęła się szaleńcza walka. Wszystkie myśli pierzchły gdzieś z najciemniejszej Kryjówki mózgu, pozostawiając tylko fizjologiczną chęć wyprężenia mięśni

na zewnątrz... Nagle major zerwał. Głosem
dziwnie się spotęgowanie najpierw wraz z trzymanemi
kurczowo okiennicami a równocześnie usłyszał głuchy
stęk spadającego ciała...
Podczołgał oboje skrzydła, jak malarze pierwszy rozwarty sofę z kąta, ratandsorując nią drugie okno
następnie uczynił to samo ze stołem i krzesłami,
układając wszystko na kształt barykady.
W pokoju zrobiło się całkiem ciemno.
Ostrożnie ze strachu wsunął się w róg framugi okna
i skierował oczy w parapet fatalnego okna.
A rozrzutnych kolei wychyrzały jedna po drugiej szybkie
myśli.
Uświadomił sobie: oto tam pod oknem leży trup zamordowanej... tam pod oknem... obrzydliwe zwłoczysko mori się
w jej wnętrznościach, rozsiadło się na powierzchni... małe, zjadliwe robaki, co zresztą się wszędy... co?! co?!
— Nawet przez najdrobniejszą szparkę...
Ściany skrzywione, deski pozsychane od skwaru...

Krew stężała w tętnicach, w oczach obracały się jasno-zielone kręgi, rozwijały się w coraz ostrzejszą spiralę....
Faust obserwował kota. — Składały się z bardzo drobnych, mikroskopijnie drobnych stworzonek... Spirala przenikała jakby z za parapetu od zewnątrz, kroplą przybierając kształt ciała kobiecego...
Wtem Faustan zrozumiał, że przyszedł kres z piekła wydobyło się niby skomlenie, niby charkot obłąkańca i stanął nad rzeczą świata....
W tej chwili drzwi od dworu nagle, mocno stuknięte. Gdy zdrętwiały, odchodząc niemal od zmysłów, nie słysząc się z kota, ktoś zapukał po raz drugi a w chwilę potem odezwał się ochrypły męski rozkaz:
— Otwórz!
Głos był dziwnie silny, pełen świadomej siebie potęgi. Jakby zmagnetyzowany Faustan poddał mu się i odsunął zasuwę.

Przez otwór rozwartych drzwi, bluznęła w ciemność pokoju łuna światła. Na jej tle ujrzał starca wysokiego wzrostu w szarym burnusie z czerwoną kitajką na biodrach.

W myśli Hassana przemknęło błyskawicą wyobrażenie rozpalonego do białości muru i kilku przesuwających się przed nim postaci.

— To jeden z tych — pomyślał nadaremnie usiłując oderwać wzrok od przepastnie fosforyzujących oczu nieznajomego.

Gość wszedł śmiało do wnętrza a zatrzymawszy się w świetle lampy, spojrzał na zatarasowane okna. Na wszystkich z wyjątkiem rozwiązanej energii skurczonych mięśniach zaświtał na potyl ironiczny, na potyl bolesny uśmiech. Chudą dłonią chwycił za zasłaniające okno sznury, odwrócił w kąt pokoju i z kolei otworzył okiennice. Przez cały czas zdawał się nie zwracać najmniejszej uwagi na zdumionego Hassana. Stojąc po rozmaitym

bankody zwrócił nań swe jasne dzikim żarem
źrenice i rzekł posępnym, mocnym głosem:
— Bóg jest potężniejszy w swojej woli!
Głosami milczał, przejęty trudno do wytłomaczenia
bojaźnią i czcią zabarem ku staremu.
Ten ciągnął dalej, nie zmieniając tonu:
— Przychodzę w porę; jeszcze chwila a byłbyś zgubiony.
Wskazał na kołyszące się w nieładzie zasłony i na
drugie, otwarte okno.
— Jeszcze chwila a byłbyś wpadł w sam środek
Ty jej nawet stałeś na tej okrutnej zdobyczy. Przy-
chodzę cię wyzwolić i ..... wezwać za sobą .....
Byłem i w innych braci, lecz się rozpadli po domach
i odepchnęli mnie. Głupcy! Oni zginą! Cóż zrobią?!
... Wszyscy, wszyscy ci, co mię chcieli mnie zgubić!!
Tyś mnie przyjął. Ot wiesz, czemu? ... Bo Jego był blisko

sratu. I to szczęście tkwi, że na tę chwilę trafiłem. Biada ci, gdybym był przyszedł wcześniej. Bo wtedybyś i ty mnie odepchnął.

Umilkł zdyszany. —

W mózgu Hassana piętrzyła się zawrotna walka obcych przeciwnych żywiołów. Z jednej strony skomlił ohydny, niemocny strach, trwoga chwili, obłęd zarazy, z drugiej różowiła się jasna jutrzenka wprost bezdennej wiary, jaką powoli nazywał go niemajomy. I mimowoli zwracał się ku ostatniej, bezwiednie poddając się potężnemu jej wpływowi. I płynął tym orzeźwiającym prądem, który wnosił go coraz dalej, coraz przemożniej i słuchał....

— Synu mój! Witam cię w imię woli. Ten wola jest podwójna. Przykliście mówić wyłącznie o woli duszy i w tem się kator kryje. Bo jesteście jednostronni. Są dwie wole: ciała i duszy. Jedna pewna

drugą i obie razem w najserdeczniejszym zespole
dają całego, doskonałego człowieka; obydwie zwarte
w świętą jedność błyszczą stubarwną tęczą woli życia
rozlewają się królewską rozą piękna i siły na bo-
ryzoncie wszechświata.

O bracia moi, boskie całe! O siostry moje, boskie
cię doskonałe!

Boskiemu pięknu! Bo piękny jest człowiek cały.
Kiedy sztuka plastyki z radosnym spokojem dłoni
ręki w glinie rzeźbę i wyjmie się nienaruszony,
i rozwinęły się w przestrzeń, wyjmie ciało. Kto
obie myśl w sobie zestroił, ze stalowym chło-
dem toni źrenic, w wyschłych otworkach śmier-
ci; nie dojdzie go z nienacka — sam do niej
chłodną dłoń wyciągnie, gdy przyjdzie nań czas, który
przyjść musi.....

Harmonii! Destroju!

Krzyczy ból, wrzeszczy rozkaz. Tu rzeź się bierze - bezbrzeżna tęsknota i taski biedna żebrze, tam cudne asfodele więdną ....

Harmonii! Destrojn!

Mieli go wieky fawsi świata, bo była im potrebna do erynn, mieli i malarzy (i ci najszczęśliwsi), mieli tajemni mistrze, by jej wybranym udzielać.

Wyrwij kwiecie, co w dziecięcej nieświadomości wzgłębi serc prostych ten rzeźbiony posiedli. I nagle jakaś klęsknęła moc znalazła chram zgody, targowiska, rozsadzi sklepienie przymierza - i wtedy orłowiek przechyla się na jedną stronę, traci równowagę i bez pamięci, bez tchu jęczy w odmęt zwątpienia ....

Cyklu! Takie przejścia wyrwij zawsze fatalne!

Głos mu słabo schrypniał i tężniał przyci-

nowym świetle. Przebyłem rozmaitą drogę tam
~~Czy mówię, że ten [illegible] szczyt~~
ku Glassanowi i szepnąłem:

— Synu, taką harmonię posiadłem i ja. Odebrałem ją, wydarłem Temu tam w naszym domu w okręgu godziny samotnych rozmyślań. I oto już siódmy dzień chodzę po mieście i mocą harmonii wyzwoliłem i siły. Dotykałem umarłych wzrokiem się w ich źrenicach, sine rany wzrokiem w biedne, skaleczone ciała i patrzę: cały jestem i czysty! Pogodny jestem i z świętą radością na czole! I ku tak promienny przyszedłem do nich, by się mem szczęściem podzielić jak z bratnimi. Lecz wyśmiali mię i nazwali szaleńcem. Chyba szaleńcem jasności i słońca.

I teraz ja król, ja, Pan mocy chcę ci jej syna odebrać, bo taka jest moja wola!"

Dotknął ręką czoła Glassana, wpatrując się w jego znieruchomiałe oczy:

— Oto mam ją!

Opadł wyczerpany na otomanę.

Tamten stał u okna i patrzył w miasto. Już od dawna przed bramami, bramiańki myślą wspólnego gościa. Plotki zachłannej w pogłoskach świadomości wołały nań, by zawrócił z drogi, zeszedł z wyraźnie wytkniętych pod stopy wykrotów... Nie słuchał: z radością rozpoczął wyprawę na obszary nieznane sobie tory i rozpuszczał się coraz dalej i dalej w jakieś strzeliste sale

o podniebnych posiadach, w niebotyczne
rozmiarach, chłodne, bez końca kurytarze.....
Na moment tylko wyrywa mi się, że ten
radość jest czemś strasznie brutalnem, że
do niej nie ma prawa, bo jednak tam w pro-
kreacyjnem zachodzi inni....
I chmura bólu zaciemnia źrenice.
Jakby odpowiadając, podjął niemajomy:
— Tak, to prawda. Ale to jest jedna z brutalności życia: tylko jedna z tysiąca nierodzących.
Lecz cóż! Nie przebarwiam pięknego kobiecego.
My tylko im pomagać możemy a reszta....
reszta w jękach dziwów....
Bracie! Pod twoim oknem leży zerwok
kobiety — kochanki, co chciała cię przeczuć

pocałunkiem śmierci. Joki i oddaj jej ostatnią przysługę! Joki! Piękna była, młoda i tylko... kobietą....

Z wielką wielką, z rzeczą berkreng, nie spuszczając oczu z twarzy mistrza, przebyła się Hlassoin przez parapet okna, podjęła leżące ciało i na rękach ~~wyciągnęła~~ długi pocałunek. Potem złożyła ją na łóżku z helmem i położyła jedwabnym całunem w złote szafrany. W tę ciszę śmierci wpadło jasne promienie zachodu i rozłożyło się po pięknym ciele olbrzyma...

Starzec wyciągnął rękę w stronę miasta:

— A teraz nam w drogę czas. Tam nas inni czekają. Pójdą bracia wyprowadzić...

Słońce zniżało krwawą skargę w zgodzie widnokręgu.

Ostatnie rzuty światła rży migocąc po wartkiej wód
i skorality ożrelienie. Tam w stali przebity się w Tórcie
i jaguarne rafy i ogrle gór... I ~~zarzadzonych~~ ~~skrzydlatych~~ Charzle-
bór, pretezy frelerat się drogocenny, rubinowy
płyn...

Od pałaców, mecetów, kamienic spadały gęste bokie
cienie ki klinem wrzynały się w ulice, kładąc po-
tężnemi ~~prętami~~ liniami ich zolbrzymiałe bryły.
I dotąd bił w niebo cijski, skrzany ogród pogoni...

Na zegarach biła ósma. Przeciągłe, modzielne dźwięki
rozpierścieniały się w zlotkich, powolnych kręgach,
spadały wżej między domy, tułały się wśród pie-
rzei ścian i głuchły zalękłe po zaułkach.....
— — — — — — — — — —
... Wyrli .....

Stefan Grabiński.

— Nocleg. —

(Z cyklu: „Srebrny Pyłownik.")

W drodze powrotnej z odwiedzin u krewnych zgodziłem na niefortunny pomysł, by miłemu spacerowi dzielącemu mnie od najbliższej stacji kolejowej nie wozem lecz pieszo. Szczęśliwa pora letnia, spokojna i perspektywa wędrówki wśród pól ciężkich już wypełnionemu zbożem i tchnących wonią polnych ziół i kwiatów. Decyzja wydawała się dobra. W powietrzu zrobiło się jakoś duszno i parno; wprawdzie był dzień stosunkowo chmurny skupiały się gęsto nisko nad ziemią i nawisły ciężko w środku nieba. Zanosiło się na burzę.

Pomyślałem krótko, by dotrzeć do przystanku kolejowego przed wybuchem żywiołu i dla wygody drogi wszedłem na przełaj przez las. Po kwadransie wytężonego marszu przekonałem się, że mój obawy i przed burzą nie uciekną.

Zatchnął ciężki chmur nagle olbrzymi wygrzak piorunu i wstrząsnął potężny grzmot lasem naokoło. Ulewny nawałnik deszcz.

Schroniłem się przed pierwszym atakiem ulewy w jakiś rozwidlony

drzewami rowdek, rozrywając się cały w gęsty krak leszczyny. Tu przeciąłem moment krytyczny.

Gdy dzwon trochę zelżał, opuściwszy krzyżówkę, ruszyłem dalej. Teraz szło się trudniej pod wzniesieniu, ślizkim od błota granicę; parę razy potknąłem się i omal nie wywróciłem na jakiejś rdzawej gałęzi. Na domiar złego ściemniło się i słabo orientowałem się w błędniku ścieżek i ścieżyn. Po półgodzinnym chodzie na ślepo przeszedłszy dziesięć, zmierzony wytrzymaniem zbawczej drogi dowlokłem do smutnego miejsca, bo zmyliłem zupełnie kierunek i zgubiłem się w lesie.

Położenie było fatalne. Zapaliłem zapałkę, by przy jej blasku stwierdzić na zegarku, że jest już godzina siódma wieczorem, że o powiązaniu mowy, bo pora nocowyróżniona.

Deszcz wprawdzie ustał, lecz ewentualność spędzenia nocy w lesie na wilgotnej ziemi nie uśmiechała się wcale obiecująco. Instynktem łowczego chwyciłem się wypatrzyć jakiejś ścieżki

i nie oglądając się w prawo ani w lewo, rozwartem jędrem
biegł między dwoma szeregami kasztanowych sosen.
Ruch rozgrzał mię i podniósł siły; po upływie kilkuna-
stu minut rozpoczęta pogoń za chwilę potem wy-
dostałem się z przeklętego lasu na czyste, gdzieś jak okiem
sięgnąć pole. Byłem na jakiejś drodze, która zaginęła
gdzieś głęboko niby kanał w równy zagłębiu wkopana w ciemnie-
jącą dal. Postanowiłem iść nią, nie zmieniając kierunku
w nadziei, że rozpocznę do wsi lub przysiółka.
Na chwilę wyciągnąłem z obłoków księżyc skrył się z powrotem
w ich gęste ogromy; nadeszła noc ciemna.
Zaczął mię ogarniać dreszcz, przejmujący do szpiku kręgowych.
Było mi zimno w lekkiem bieliźnianem ubraniu bez za-
rzutki. ~~Drapiąc się~~ Drżałem przed siebie w absolutnej
ciemności, od czasu do czasu wyciągając ręce, by zbadać
zbocza śródpolnego parowu w obawie, czy nie schodzę z drogi.
Raz natrafiłem na jakąś jamę i z trudem tylko wydoby-
łem się z jej chłupiącej dziurawiny zgłębi - to znów zgrzęzłem
w błotnej kałuży po kolana....

siedem dalej. Grunt powoli jakby podnosił się, prawie niechodził do jednakowego poziomu z polami. Wyjeżdżałem pod nogami rozstaj trzech gościńców, która rozdzielała podwójny tor kolein.

Po czasie dorzekł mię z prawej strony zapach czeremchy. Przyspieszyłem kroku, aby zbliżyć się do jej woni; była teraz mocniejsza i zmieszana z zapachem akacji: mężczyźnie zbliżałem się do jakiejś wsi lub dworu. Każdemu oddawał się rozróżnić szum drzew — wielki, poważny rozhowor. Wytężyłem oczy w ciemnotę przed mną, lecz nic spostrzegłem nic: panowała bezwzględna, czarna jak skir ciemna....

Po trawy musnęła mię mokra gałąź, oblewając kaskadą krople. Otarłem oczy i sięgnąłem ręką w górę, by przetrzeć gałąź; zamiast niej palce objęły sztywne drzewo sztachet.

— Sad — pomyślałem z uczuciem radości — lub park dworski

W każdym razie ~~się~~ rozpoczęły przygotowania na noc. —

Żeby nie stracić kontaktu, nie wypuszczam jej z rąk ogrodzenia bez ciągłe posuwając się naprzód, gwałtownie palce po drucianych przęsłach niby po nici przewodniej wśród mroków nocy. W pewnem miejscu sztachety ustąpiły, odchylając się w głąb. Była furtka. Wszedłem i rozmknąłem na oścież; w ciszy rozległ się wyraźnie skrzyp rozkręconych zawiasów.

Szedłem jakąś aleją otwartą ruchem dwie, które rosły po obu jej stronach; skądś odzywał się szmer liści i topot ogarki miotanych na wietrze. Nie widziałem nic — nawet pnie drzew niewidzialnych zlewały się zupełnie z czernią nocy; nie wyodrębniał się ani jeden szczegół. Jak uszedłszy kilkaset kroków nieoczekiwanie uderzyłem stopą w coś twardego, podniósłszy nogę w pierwszym momencie, przekonałem się, że były to sztachety. Więc ogród tutaj się kończył; widocznie ścieżka, którą

sredkiem, nie była głęboka i biegła wzdłuż. Przyjęliśmy
otwór ów za ogrodzenie leżały zatem u końca siatki głównej
która zapewne krzyżowała się gdzieś z drugą obronną
przypadkowo znaleźliśmy. Należało szukać punktu
wyjściowego siatek. Domyśliłem tedy i zamierzałem posunąć
się ostrożnie w kierunku, skąd przyszedłem, co parę
kroków czyniąc próbne zbocza na obie strony. Lecz
nie mogłem jakoś trafić na upragnioną drogę, która
według mych domysłów miała wyprowadzić do domu.
Nie śmiąc rozpuszczać się pomiędzy krzaki i drzewa, wśród
których można było błądzić do rana, wracałem po
każdej próbie na środek siatki, by z kolei badać teren
po drugiej jej stronie. Po poszukiwaniu spełzły
na niczem; po półgodzinie minutach drogi, zbliża-
łem się z powrotem w forthi. Stworzony niepowo-
dzeniem, gniewny do nitki przejściem tamtą drogą
postanawiając tam iść tylko brzegiem prawym i moj-

piew zmęczenie jak najdokładniej tę stronę.

Kolejne wszedłem parę kroków, potknąłem się o jakiś wystający pniak, gwałtownie odruchowo wyciągnąłem ramię, by uchwycić się drzewa lub krzaku. Wtedy ramiona zetknęła natrafiła na węgieł jakiegoś budynku. Zatrzymałem się, wodząc dłonią po jego ścianie. Była drewniana, zbita z nierównych tarcic. Tak namacałem dwoje zamkniętych na kłódkę....

Domyślałem się: wejść czy szukać dalej?
Chyba drzwiami ta budda być nie mogła?
Postanowiłem ogromne zmienić. Nagle uznałem, ~~się~~ że dalej już iść nie zdołam. Drzewa ogrodu wstrząsał nimi już od chwili. Zapukałem. A wnętrza nikt mi nie odpowiedział. Przycisnąłem ucho do ściany, nasłuchując. Cisza panowała. Zniecierpliwiony wyjąłem kołek i całym sobą pchnąłem drzwi. Otworzyły się bez oporu.
Uderzył mnie silnego siana i zgniłych śmieci.

– Szczęśliwa kombinacja – pomyślałem, zamykając za sobą skomplikowane wejście.

– Dobry wieczór! – odezwałem się głośno.

– Dobry wieczór! – odpowiedziało echo.

Przestrzeń, do której zmierzałem, była znowu pusta. Głos dudnił jak w beczce.

Potarłem zapałkę jedną, drugą – niestety odmówiły posłuszeństwa, pomokły znów we mnie. Trzeba było zwierzchnowrócić się światła. Po omacku przesunąłem się wzdłuż ścian, dotykając ich powierzchni. W drugiej z rzędu wnęce zatrzymał mię jakiś przedmiot, który potrącony nogą zadudnił głucho. Chciałem go ominąć i pójść dalej, lecz zgłaz trafiła na przeszkodę i wpadłem w jakieś zagłębienie. Sznur był widocznie zgubiony.

– Co za licho? – pomyślałem, zrejterując się w stronę brzegu – Nicki czy Morgto? –

Przeciwnie, zgodziłem się natychmiast. Trochę mię nagle

jakoś nieswojo.

— Gdzie jestem? — krzyknąłem na cały głos.

Milczenie. Stałem, łowiąc uchem śmiertelny ciszę. Najlżejszy oddech ludzkiej piersi nie mącił głuszy nocy. Słyszałem tylko przyśpieszone uderzenia własnego serca....

Obejrzałem wszystko po izbie. Po chwili moje wzroki zatrzymały się na jakiejś chustce czy odzieniu porzuconym na podłodze. Schyliłem się, podniosłem. Był to podarty, wilgotny kaftan cuchnący zgnilizną i rozpadem starych, dojrzałych śmieci. Odrzuciłem z obrzydzeniem.

Umysł mój snuł domysły na temat miejsca. Może buda szkodnika drzewnego lub wyrwa z miejscowej stelbiki?

Pomyślałem moje siano rozbiło się po środku izby.

— Może będzie się można przespać na niem choćby na podłodze?

Na poziomie piersi wyciągnąłem nagle garść: jakieś stare czy zgrzyty rozsadzą warstwę świeżego siana. Wyciągnąłem

zgłębiłem z lubością po swoim podziemiu. Tajemnic był nieznany; znalazłem Tobie.

Bez namysłu zrzuciłem ubranie błotne i potrzebne rzeczy, wydobyłem się szybko na powierzchnię.

Na dworze padał rzęsisty deszcz, gęsty i ciężkie krople, świstał wiatr w gałęziach drzew. Ukołysany monotonią żywiołów, zgrzebany długą wędrówką wśród dzikich i burz, nieświadom rozpadłem się stan przedsenny. Przez chwilę trwało zamieszanie między snem a jawą pełne skłębionych obrazów, kontrastów postaci — z kolei spadła gęsta, rzadka mgła i stłumiła je ślepym woalem — wreszcie nadpłynęła pierwsza fala snu i zmęczonego, pogrążającego się w odmęcie, wkrótce porwany tajemniczym prądem znalazłem się daleko, w otoczeniu zgoła nowem, niemanem, wśród ludzi obcych, wytwornie ubranych.....

Wnętrze staroświeckiego dworu. Na ścianach tureckie makaty, kon-
terfekty, szabla i broń myśliwska. Jakaś sala duża, jasna,
w obłokach tytoniowego dymu. Wokoło przy stole zielonem
suknem obciągniętym grupa mężczyzn w strojach wieczorowych.
Grają w karty: wist. Twarze rumiane, mięte. Tajemne po-
przesranej nocy. Uwagę skupiają na sobie trzy postacie -
dwóch mężczyzn i kobieta. Piękni ludzie. Arystokrata ten blondyn
o charakterystycznym, angielskim profilu. Rasowy orzełnich.
Gra nerwowo, jakby wstrząśnięty i przegrywa ciągle. Nie-
bieskofiołkowe oczy, co chwila podnoszą się z ponad kart
i spijają z blasku, czerwonego płynu w szklankach stojącej
siedzącej przy tamtym mężczyźnie, zapewne mężu.
Tych dwoje ludzi coś wiąże ze sobą, jakaś wspólna, ser-
deczna tajemnica. Spojrzenie kobiety nie schodzi z twarzy
przegrywającego - ale słodycz pijanych miłością jego oczu.
Twarz mężczyzny skupiona, nachmurzona; głęboka pręga przecina
czoło w okolicy brwi, charakterystyczny grymas. Gra równo,

spokojnie — tylko od czasu do czasu poczyła się ku drzwi wejściowej świecy po prawej i rozjaśniała ją jej płomienna purpurowa. Wtedy na moment oczy jego szare, stalowe szukają oczu przeciwnika i patrzą w nie zimno, z natężoną uwagą.... Gra toczy się dalej nieubłaganym, fatalnym ciągiem.

Mijają długie minuty, kwadranse, godziny... Ktoś pani niemiecznie pod osłoną mała wyciąga ramię krzyże cudnie wyrzeźbione i szuka ręki ukochanego. Dłonie ich spotykają się na mgnienie oka, na krótki, boski chwilę i spłoszone cofają z powrotem.

Mój drugi niespokojnie głową stłumił przód podniesionej jej ręki. Tylko twarz rozognia jak pąki się w nerwowe, ostre linie i zgniłkiem woli wtrąciła w maskę obojętności. Tamowiał.....

Blondyn zaczął rozdawać karty. Padły króle, walety, rozkręcił się młyńcem na sukni as kierowy....

Kobieta wstaje i coś mówi. Brzemienna gości, które podnieś po-

ranną pielęgnację. Przechodząc obok blondyna, muskała
z lekkim, niby przypadkiem jego policzek szerokim rękawem
kimona. Postać jej pełna, dorodna a zgrabna zniknęła
za portyerą w przyległym pokoju. Męczyźni przeprowadzają
odchodzącą uśmiechami i wzrokami aż wreszcie.
Inna sytuacja powstała w grze jest arcyciekawa, bo
chwilowo tracą oni się i znów rozpoczęcie uwagi.
Wygrał pan domu....
Wchodzi sługa i podaje na tacy herbatę i ciastka. Goście
spożywają śniadanie. Z ramienia i ruchu odsłoniętych
kolan kokietka sługa, by zręcznie uciszyć blondynom
w ręce drobny, papierowy świstek. Chwyciła chciwie, rozwija
skrycie, badawcze spojrzenie. Odetchnęła: nikt nie
widział....
Niedbałość pani domu zwraca uwagę wszystkich. Pyta o coś
sługę i wychodzi. Ta chwila nader stosowna. Brzęczący
szkło kryje się we framudze okna, wyjmuje papier, czyta

Fala krwi zbrodzi mu lica, w oczach grają błyski. Twarz schowa na piersi... Dopala papierosa, usuwa się w głąb i wśród gwaru mika za drzwiami najmniejszy portyerz.

Po chwili wraca mąż. W rysach zdenerwowanie, błysk gniewu. Po scenie. Bierze go w urzędowe posiadanie jakiś ogarnięty jegomość i ciągnie w kąt na pogadankę. Ustępuje lubo niechętnie. Mąż kwadransuje, pół godziny.

Rozpierzchli gości powoli wracają na swe miejsca przy wielkim stole hal. Zamawiano kolację. Na bilecie trzeciej sztuki widnieją, jakieś półsłówka, domysłniki. Spojrzenia reżyserowane zignorowanie na pana domu.

Powstał blady, drżący:

— Przepraszam panów. Obowiązkiem moim odnotować zabłąkanego gościa. Zaraz będę służył z powrotem.

Odsuwa gwałtownie krzesło i znika w głębi domu. Widać długą, ginącą się w oddali enfiladę pokoi, starych, rzęsistych zdo-

marszałem Kotar Romuald – otwierają się jedne po drugich drzwi, odsuwane nerwowo skrzydła, odsłaniają ciężkie kotary... Padają w kątach spojrzenia rzęs, badawcze, świdrują alkowy, przepatrują szyfoniery....

Wyjrzał na ganek, zbiegł po schodkach, skręcił departamentem w lewo. Boki ciche, otwarte, podrzędne. Dorożki jakieś ogłosy, szepty namiętne. Tajniak przez kratę opleciony dzikim winem altany. Tobaryt.... Przebiegło mu głęboko piersi, podsuła usta. Całował długo, gwałtownie...

Nagle scena zmieniła się. W środku chodnika stanął mąż. Na ustach rzęsy, ironiczny uśmiech, w rękach szpiegostwo:

— Excusez! —

Kobieta porwała się z ławki, chciała coś powiedzieć. Romuald jej świst w twarz. ~~Podniosła~~ z krótkim okrzykiem podniosła ręce do policzka, na którym wyprysła purpurowa, czerwonosina pręga.... Tamten rzucił się na oszalałego z gniewu, zamierzył się pięścią na twarz. Ten w dwóch wyprostował ojca: ratyzmato ojca mocne, stalowe ramię.

— Znajdziemy inny sposób załatwienia tej sprawy.

Ruchem rozkazującym wyciągnął rękę ku kobiecie i rzekł do niej:

— Proszę nas rozstawić graczy!

Odeszła. Niema gra ~~figurek~~ turniej, pojedynek spojrzeń. Oczy gnieciuchów wpijają się w śmiertelnym zmaganiu niemal nieruchomo utrzymują się na twarzach od robót powstawionych przed graczami na stole. Wykonują uwagę dwa kiełbki na spodkach: zielony i błękitny. Dzwonią uśmiech błąka się na wargach wejścia. Sięgnął po ~~one~~ kiełbki, potrząsł ~~nad~~ na ręce i igra niemi, tłumiąc je w dłoni. Spojrzał pytająco na tamtego. Wyjął z garści kulkę błękitną:

— Śmierć!

Blondyn skinął na zgodę.

Teraz grodzenia dłoń z zieloną:

— Życie.

— Dobre.

— Kto będzie ciągnął losy?

dyalog pierwsza linia, angielski chart. Słucha uważnie biega do altany z krótkich, gibkich skokach i zaczyna kosić się u stóp blondyna. Ten głaszcze psa po tle, pozem wskazując go towarzyszom, objaśnia:

— Nero.

— Dobre.

Wkłada papierosa do kości i stawia na stole. A kolei sięga po nie rywal i wyjąwszy z paczki, zwraca się do psa:

— Apporte Nero! Apporte!

A palców wyrzuciły się różnobarwne kule i rozlatując się dwiema parabolami, spadły o kilkadziesiąt kroków na żwirku: bliżej zielona, o kilka metrów za nią biała.

— Apporte Nero! — rozległ się donośnie blondyn.

Pies zerwał się z miejsca i lekkim truchtem zbliżył ku kulom. Obaj mężczyźni śledzili baczne z altany jego ruchy. Nero chwycił z zęby najbliższy rotek zielony i już miał zawrócić

ku jamie ze zdobyczą, gdy item spostrzegł drugi pod nim pod klombem. Ten zawahał się na moment, jak postąpić; po namyśle podbiegł do klombu i podjął. Gdy z sukiennego rękawiczka problem wreszcie chart do altany, trzymając wysoko podniesioną paszczę oba kłębki. W tem zaczęli nogą o jakiś korzeń, pobolewszy i trzepnął ręką o krzak; wtedy rozwija się jeden motek wyślizgnął się i wypadł gdzieś po drodze pomiędzy krzewy. W chwilę potem rozpoznał podawał swemu panu pozostały kłębek. Był to błękitny kłębek śmierci.

Blondyn odebrał go i pogłaskał psa po lśniącej, jedwabistej sierści:

— Dziękuję ci Nero.

Uśmiechnął się i patrząc na swego rozmówcę, odrzekł spokojnie:

— Dzielny pies. Tak, tak. Mój własny pies. Żegnam pana.

Odpowiedział miłego ukłonu.

Krokiem szybkim, nerwowym opuścił altanę, przemierzył park i furtą wydostał się na pola. Za nim biegł Nero. Młody ogrodnik zwolnił kroku i skręcił pomiędzy rabatami na dworzec. Szedł brzegiem

zawsze tatarskiem i rogoż neki. Rozsunął mechanicznie wilgne rosą ich pątki, nurzał się w lesie mokrych okiści. Wiórą nieleni przeciwnej złotem porannego słońca odcinał się czarnym konturem jego smukły, świetnie skrojony frak.

Pies towarzyszył wytrwale, wstępując w ślady pana, który zdawał się go nie dostrzegać. Wtedy wyprzedziwszy go ogromnemi susami, obrócił się i spostrzegł niemego towarzysza. Błysk gniewu rozjarał w szeroko otwartych oczach. Podbiegł i kopnął zwierza z całej siły.

— Precz, ty bydlę podłe!

Pies rozwarł tak, że aż się potknął z wyrzutem w oczy. Pan odwrócił się i poszedł dalej. Teraz biegł nad samą rzeką. Tędy spojrzenia snuło się po fali, wlokło z biegiem prądu. Ale nóg wdeptało się głębiej skomlenie psa: Nero zmęczonego na niemowlęcy wzrok ~~zimą~~ pana, lizał ręce, łasił się. Wtedy człowiek wyjął z kieszeni kurtki, krótki rewolwer i strzelił mu w łeb. Zwierzę wydało cichy jęk i padło u stóp pana, składając powtwarzaną ofiarę nad brzegi opuszczonych Bogom. Desperat wyjął broń i rozmyślnie nadwerężył brak nabój odrzucił od siebie jako rzecz niepotrzebną. Potem bez namysłu wskoczył w rzekę. Woda pod nim wzburzyła się, wzdęła,

pryska pluskotem pian i rozwala się nad ofiarą równą
ogłodzką pościelą. Rzeczki dalej mierzą w drogę ku dalekim
celom - plotorzyta się fala na rzędową dolę, frunkną wart
bzędny w tęsknotę niedystej otchłani....

I cicho było nad brzegiem rzeki, cicho i samotnie.
Grosem chyba ~~rozlele~~ rozleszczotała w niklinie pstra
krasnowrotka, rabrzegał homar, rarechotała żaba-cruser
lotem szygraka przefrunęła krzykwa, rozwalała się nad
liściem podkiatu pierzowa rażka.... Kiedyniekiedy otrząsł się
spłoszony odlew czaplaki, rahuczał dziki ogłsior, rakwiliła
rybitwa. W dali tam na rakrzecie, gdzie ustęga wody
głubiła się między chaszczami leiatol senne, mrotkę natię-
głe drzemanie.....

Powoli mgły stamtąd i dopiero rzeczy rasnuwać krajobraz,
mroczne wzgórza sporijały rzekę, pętały krę, przestawiały brzeg
— aż wszystko zlało się w jeden wielki, berkształtny, czarno-
biały kłąb.....

Nagle zadrżał w nim czerwony krzyk światła i obudziło
się.....

Był dzień słoneczny, jasny. Leżałem na wznak, twarzą wystawioną
na działanie promieni słońca, które całym snopem wpadały przez
małe, zakratowane okienko w ścianie naprzeciw. Oślepiony bla-

skiem przystoniłem oczy i spojrzałem uważnie dookoła. Pokój wstrząs przejął niezrozumiałe me ciało. W kącie spostrzegłem trumnę. Otwarte jej wnętrze ziało ku mnie głębią śmierci.

Odwróciłem oczy; wzrok padł na wystający róg poręczy, na której leżałem. Był okryty jakimś czarnym sukiennym czymś sztywną obdartą materią. Machinalnie wyciągnąłem dłoń; był to kaftan, cały brudny od grochu i błota, skropiony łzami śmierci. Przypomniałem sobie ubiegłą noc i gałgan podjęty gwałtownie z ziemności. Brr... Rzuciłem go na ziemię.

Protarłem oczy. Resztki snu ulotniły się. Otrzeźwiałem wyraźnie. Gdzie jestem?

Pod ręką lewą ukryty w sianie poczułem jakiś twardy przedmiot, który obejrzałem dotąd bezwiednie palcami. Lewica stwo nie pozwoliło mi sięgnąć się i przekonać, co. Dopiero tylko w tę stronę głowę lewą nie robiłem więc spojrzałem na ścianę stodoły i siana przestawiała mą rękę wraz z trzymanym w niej przedmiotem. Długo przenosiłem palcami wzdłuż..... Siekierka! Teraz miałem wrażenie, że przesuwam je pod czemś miękkim niby po skórze, niby

po czyimś ręku. Nagle zrozumiałem. Ręka moja trzymała w bezwładnym uścisku [puder] nóż całą ramię erbowicza. Jednym podmuchem pomknąłem się z furgonu i uciekłem, chcąc stamtąd usunąć się, odstawiając [miejsce] kryjówki tuż obok na tym samym tajemnicze miejscu. Krótkie zgrojenie ucichło na trawie towarzysza zmroziło mi krew w żyłach: pomnikiem blondyna widzianego we śnie.

Była to ta sama arystokratyczna twarz, te same rysy nos tylko teraz podkreślone ostrzej rylcem śmierci. Leżał wyciągnięty sztywno na podściółce słomy w pomiętym, jeszcze wilgotnym fraku, z [kwiatkiem] w klapie wielki wodnych w klejących, jasnych włosach, ze smugami mułu na spodniach i gorsie koszuli.

Patrzyłem jak oszołomiony, nie dowierzając oczom.... Nagle jednym skokiem oddaliłem się z furgonu i nie patrząc przed siebie, ruszyłem biegiem na ramiona [blisko]. Chciałem wyjść z stąd jak najprędzej, nie

jak najdalej.

Wtem z remizy odezwały się liche kroki i niemrawy głosów. Przybyłe stróże odezwali się i do środka wszedł pomiędzy: trzech chłopów z wójtem na czele, żandarm, jakiś chudziak w cywilnym ubraniu i dwóch gentelmenów. Towarzystwo miało postawę uroczystą, urzędową.

– Komisya śledcza – powiedział.

– A pan co tu porabiasz? – zapytał mnie wójt grubym, niskim basem.

– A cóż? Przespałem się niechcący w tej izbie.

– Nie wolno. Jest to tymczasowa – zgromił surowo.

– Wczoraj po wozy robiłem tu, wiecherz jest dla ubogich. Nie wiedziałem, gdzie schodzę.

– Winszuję noclegu – odezwał się jeden z inteligentów, czarny brunet z krótką brodką, zapewne lekarz.

— Istotnie śmiano się trochę zgrało. Ile wioski?

— Wydobyli tutejsi chłopi wczoraj popołudniu z wody. Rzeka wyrzuciła na brzeg niedaleko młyna.

— Panowie — zagadnąłem — czy nie mogę tam przejść do sekcji?

— Właśnie. Komisya w komplecie. Panie sędzio — zwrócił się do przysadzistego pana w średniej czapce z tchu pod brodą. — Czy zaczekamy na przybycie pana Grzybickiego?

— A właśnie oto jadą. Wielmożny pan doktór — chórem odpowiedzieli chłopi, wskazując miejsce [illegible] między którymi w tejże chwili przeciskał się wóz kostniczy.

Przybyły rzędzi średni, biały kapelusz „panama" i obszerny mały krótkim nutem oczu, obladł jak ściana. Powstałem wyszedł ze sali. Zapanowało głębokie milczenie. Lekarz otworzył drzwi, orzekł puzdro i zaczął dobywać z niego przybory do obdukcji. Połyskiwały pod światło zimne ostrza lancetów,

rozlegał się metaliczny dźwięk rozkładanych w pogotowiu nożyc i pincetów....

Wtedy milczco skłaniałem się obecnym, opuściłem sanktuarium.

Za drzwiami przyjmował mię skrzypiący w rosach poranych rozbrzmiały brzękiem owadów i ptaków ewentarz. Śledziłem białym piaskiem wysypany ścieżkę, z rzadka mijającą po stronach, z nielicznych zgrzebnych oleandrów wystawały popielkowate kwiecie w natrysznikach keschtowych liści - a pora kwietnia jaśminu rozbłyskała się raz rozemiała ta jej statuetka Matki Bożej - ~~ugięgnęła~~ ugięgnęły ramiona skrzydła nagrobnych aniołów.... Na trawach mogilnych ~~pod~~ perły się tęczy dzidzia i tęczowały w słońcu, a ziemia przepojona krwią siedmi cieniu, milczy więcierz, nasiąkał wonią kwiatów, ziół i dźwigała się z gór powiat drzewa. Na bramie płaczącej w furty siedział jakiś ptaszek szary, spłochliwy i cichy świergot.....

Stefan Grabiński.

~ Znak. ~

— Passe! —
— Trójka. —
— Szóść. —
— Passe. —
— 10 tarokiw, pagat ultimo, tous les trois!
— Kontra!
— Re! — odparował spokojnie pan domu i rozpoczął grę królem czerwonym.
Papierowy władca zebrał okrzyki damy i nie puściwszy go dosyć wrócił lewę do właściciela. Rozmuski zadał z kolei tarokiem rzucenie a z powodzeniem przejął inicjatywę gry. Nie pomogły wybiegi chytrych partnerów zastawiających siodła na muzykalnego pagata — przebiegły cytrzysta wymknął się z obiedzy i zgodnie z zapowiedzią w początku triumfalnie zakończył tury. Rozmuski wygrał.
Powoli, zmiennym ruchem zagarnął papierosa i zaciągnąwszy się

złotówek, zaczął mieszać karty. Fortuna stała dziś wytrwale za jego krzesłem. Hazardowi podwyższał i potrajał stawki – rzadkie szczęście: stos złotych i papierowych tysięcy po jego lewej ręce rósł bezustannie. Kiedyindziej zmożeby go pragnienie chwilowe – dziś był zbyt zmęczony by się nad tem zastanawiać. Grał tylko z automatycznej uwagą, obliczał ze szczególną łatwością jakby z obowiązku, z rzeczywistości obojętny.

Z kasyna nawrócono mu tę grę, do której zupełnie nie był nastrojony. Uległ tylko życzeniu trzech swoich towarzyszy i przyjaciół z sąsiedztwa, którzy po hucznej zabawie w domu przyjętych teściów Rozmuskiego wpisali się doń jak piorun nieoczekiwanie na partyę tarokka. Cóż było począć? Ludzie mili, szczerze mu życzliwi a nadto moralni sprawcy bliskiego już małżeństwa, przyjaciele – swoi. Wsiedli do sań i prosto od zaręczyn zjechali do modrzewiowego dworu rodziny Rozmuskich.

Zjedli krótką, kowalską przekąskę, wypili parę kieliszków starej, gdańskiej wódki i siarno zasiedli do zielonego stolika. Rozgrani siarczystym morzem sporą ilością wyśmienitych trunków i nieprzebraną dużą, staropolską świetlicą panowie rozluźnili się w dobrej kobiet.

Kostrzycki, wesoły, smukły blondyn z bujną, zaczesaną czupryną zrucił nawet frak i jeszcze luźniejszy przez grzbiet krzesła, grał, nucąc od czasu do czasu jakąś krotochwilną piosenkę.

Zgonelski, rosły, barczysty właściciel żytomierskiego klucza rozparłszy się szeroko w skórzanym, wygodnym fotelu raczył mu grubym basem, sięgając w przerwach po butelkę węgrzyna umieszczoną na

i

jego pod stolikiem.

Trela z wzgórza, szczupły, z rozwichrzonym, melancholijnie trochę opuszczonym wąsem Bieczowa milczał zawzięcie, jedząc z krótkiej, fajansowej fajerki.

Na dworze lepił śnieg, na szybach malował kręte kwiaty zmróz a w kominie burczał przykopcony cichutko nietlejący iskier ogień. Ciasno było w starym dworze, ciasno i ciepło.

Krwawe błyski ogniska wędrowały bezgłośnie po ścianach i przeglądały czerwonymi plamami zdobyczne, tureckie makaty zwisające od stropu niemal po podłogę. Czasem gorętszy pęcherz wymknąwszy się z kominka, trafiał celnym rzutem surową jakąś twarz pradziada z portretu i zagrał migotem groteskowo; sędziwy wojownik jakby krzywił się od przekąski i skostniałe, surowe rysy łagodniały w pobłażliwym uśmiechu. Czasem swawolny grot ognia

musiał po drodze poranić lico babki-matrony, że wydrążona z niemej zadumy, zdała się żywszem spoglądać wejrzeniem; w ciemnych, głębokich oczach zapalały się jakieś światła, migały jakieś błyski, by znów po chwili pogrążyć się w ciemności i zapaść w starczy drzemotę.....

Pan domu był tego wieczora małomówny. Po blasku, filu nie przemknął ani razu uśmiech; zimne, zaciśnięte usta ani razu nie wygięły się linią pogody i zadowolenia. Obojętnie zbywał milczeniem dowcipy gości, ze spokojnym chłodem odpowiadał na grzeczne zapytania. Czarne, mgłą smutku powlekłe oko patrzyło gdzieś w przestrzeń, blade, cudnie sklepione czoło marszczyło się chwilami w podkowę, nerwowe brwi drgały. Był w nastroju zgoła nie przedweselnym. Uszczęśliwiał bruhaim, który już od lat paru dokładał wszelkich

starań by go wyprowadzić ze stanu dziwnego zobojętnienia, w jaki dziś także spętany na wiecznem. Ponura zadra ma zagnieździła się w sercu tego zamkniętego człowieka.

A młody był jeszcze, młody i piękny. Z pod bujnej czupryny kruczych włosów wyglądało oblicze męskie, o liniach mocno zakreślonych, pełne energii i pewnego siły. Podobno niegdyś należał do najweselszych ludzi w okolicy i szalał żarem niespożytego temperamentu na sąsiedzkich zjazdach i kuligach. Dopiero małżeństwo zawarte lat temu dziesięć z Jadwigą Gratkowską zmieniło go najzupełniej. Sprowadził, zaczął unikać towarzystwa, wieść życie w zaciszu domowem.

Różne krążyły pogłoski o powodach Romuskich i gadatliwa plotka snuła o nich najdziwaczniejsze powieści, ale najprawdopodobniej jednak szczęściem nie było. Związek tych dwojga wyjątkowych ludzi dumnych nad miarę i nad wyraz gwałtownych należał do rzędu tych małżeństw

stosunków, które znachodzą wyjście albo w miłości do świata, do ratowania tchu, zapomnienia siebie, lub — w śmierci. I tę ostatnią drogę obrała Jadwiga Rozmuska. Pewnej zimowej nocy znaleziono jej martwą, z przestrzeloną na wylot piersią w sypialni męża. W liście ukrytym za gorsetem wyraźnie dziwna kobieta, że ginie z własnej ręki i woli, nie godząc przyczyn samobójczego zamachu.

Rozmuski szalał z bólu, żił się z rozpaczy i gdyby nie wyraźne życzenie zmarłej wyrażone w testamencie bo został przy życiu, byłby niewątpliwie poszedł w jej ślady.

Lecz od owej tragicznej nocy chmura bólu nie zeszła z pogodnego czoła. Rozpytywany o szczegóły śmierci i przeszłość małżeńską milczał uporczywie i dokonał wielkich wyrzeczeń. Wogóle nigdy o wypadku i żonie nie wspominał, zawarłszy w sobie przeszłość na

żelazne powściągliwe.

Od tego czasu upłynęło lat pięć. Ból ukoił się, zbagodniał i przeszedł w stałe zamyślenie. Dopiero w ostatnich miesiącach Rozmuski jakby otrząsł się pod dobroczynnym wpływem przyjaciół i zaczął powracać do życia. Wreszcie ustąpił usilnym ich zabiegom i poprosił o rękę bogatej a pięknej Leokadyi Załęskiej, córki szyniarza, która podobno od dawna, jeszcze przed zawarciem jego pierwszego małżeństwa darzyła go uczuciem, nieodwzajemnionem niestety.

Stefan Rozmuski zaręczył się. Dziś jego siostrzeniec po hucznych zręczynach wśród tłumów i kwiatów wrócił z drużbami do siebie szczęśliwy burzą wewnętrznych sprzeczności pod maską obojętności i zadumy.

Rozpoczęto czwartą partyę. Zgorzelski zmieszał karty, rozdał i po przemówieniu licytuje i gotowy się gra od nowa. W pewnym momencie Rozmuski wyciągnął z wachlarza kart trzymanych w lewej ręce ty-

jego skinął i zagryzając usta, wpatrzył się tępo w jego połyskliwy monokl.....

Wtem skrzypnęły z cicha drzwi wchodowe i do pokoju wsunął się nieśmiało Filip, stary sługa domu.

Rosmuski usłyszał ostrożne kroki i zwrócił się doń profilem,

— Jaśnie panie!

— Cóż powiesz stary?

— Jakaś pani w żałobie czeka w sieni i radaby bardzo w prywatnej sprawie widzieć się z jaśnie panem.

Rosmuski spojrzał na zegarek:

— Teraz? O trzeciej po północy? Takie fantazja! Pewnie znowu jakaś zdobycz po officjalistce. Nie macie wyjścia sienia moi kochani! Skończyć w stronę przyjaciół — jak mnie już muzy ta nocna zebranina. Nachodzą mnie

i drżący niemal codziennie.

– Jaśnie panie – szepnął poufnie Filip – znam je wszystkie, bo nie od dziś i nie od wczoraj tutaj służę – to nie jest żadna z tych. To jest ktoś inny.

Rozmyślnego nadeszła chwila w głosie sługi, bo popatrzyło nań uważnie, powoli wstając od stołu, przeprosił gości:

– Wybaczcie – muszę na parę minut przerwać partyę – zaraz wrócę. – Filipie, przynieś tymczasem panom parę butelek węgrzyna, tego w zielonych flaszach, wiesz?

– Stanie się, Jaśnie panie.

Rozmyślny nacisnął klamkę i znikł w sieni. Za nim milczco wymknął się z komnaty sługa. Goście zostali sami we troje.

– A to jakaś romantyczna historya! – zauważył wesoło Kostrzycki. – Odwiedziny o północy w głuchej żałobie!

– Ej kto nie – podchwycił Protochwilnie Bielowarski – czy nasz Stefan nie ma jeszcze jakichś zaległości naszej daty?

– Aha właśnie, i ja o tem pomyślałem – potwierdził sentencjonalnie Tęgowelski – może jakaś maleńka likwidacya z ostatniej doby wdowiego bytowania. A w sumie powinien się wytrzeźwić – za jaki tydzień, dwa mogłoby być za późno.

Tok dalszych uwag przerwało wejście Filipa z wygrzanem masywnej tacy i odkorkowawszy, nalał ciemnowiśniowego napoju do dużych, z kryształu wyciętych szklanic. Obecność starca zmroziła jakoś wesołość. Wiał od niego jakby chłód i utajona niechęć.

Kostrzycki podniósł pod światło likwor i jego oczy jego przeźroczystą barwą, przerwał przykre milczenie:

– Na zdrowie miłego gospodarza i jego przyszłej pięknej żony!

– Na zdrowie vivant! Crescant et multiplicentur! – zawtórowali wszyscy trzej chórem spełniając toast.

Filip nieznacznie skrzywił się i zabierał do wyjścia.

– No, a ty stary – zatrzymał go w drzwiach Kostrzycki – nie napijesz się z nami za zdrowie twej przyszłej pani?

Starzec spojrzał nań surowo i odpowiedział spokojnym, równym głosem:

– Nie – dziękuję niełaskawemu panu – za wielki zaszczyt. Trzeźwy jednej miałem panią w życiu i tej wiernie służyłem a dziś ona niebożątka. – Stary ja już, niezdara – dorzucił z tłumioną goryczą – czas mi już odejść na spoczynek, czas. Nie umiem dworom bogom służyć. –

I nie czekając na odpowiedź, skłoniwszy się ogólnie

owych tym wybuchem uczuciem.

Kostrzycki pierwszy oprzytomniał ze zdumienia:

– A to ciekawy stan! Stylistyczne?

– Istotnie, uporczywy dziwak, któremu trudno nagiąć się do nowych gwarantów.

– Wiecie – zauważył Biedrawa – wygląda to tak, jakby nie życzył sobie powtórnego małżeństwa Stefana.

– Ej, gdybyście – zawyrokował Zgorzelski. – Chyba nie będziemy rozstawać się nad sympatyami i rozpatrywaniu sługi. Szkoda czasu. Lepiej opowie nam Kostrzycki jednego z swoich kapitalnych anegdot, których zbiory zapas niewątpliwie pod ręką. –

Kierunek nie bronił się bardzo i zgodził się zaraz opowiadać. Historya była wcale uciesznа i wkrótce humory podniecone winem zaczęły się stawać

wrzawę. Za jedną krótkotrwałą pauzą druga, zaraz trzecia i dalsze przeplatane częstem wyczytaniem szklanek, osnute kłębami tytoniowego dymu, uzbroiły pustą piosenką.

Tak mijały niepostrzeżenie chwile i starościecki regent rozjątrzony na kolumienkach wekazywał jej czwartą nad ranem.

Podochoceni goście jakoś nie rozumieli żywszej nieobecności gospodarza i zabawiali się sami w najlepsze. Dopiero wejście Filipa otrzeźwiło trochę zmęczone głowy. Biedrawa rzucił okiem na sługę, potem na regenta i nagle spytał:

— Filipie, gdzie pan? Czemu do nas nie wraca? Czyżby zapomniał, iż dziś u niego w gościnie?

Drugi inni również pytającego rozwidzili się do starego.

Na twarzy sługi widniało trwożne zakłopotanie:

— Pana nie ma we dworze.

— Jakto? Wyjechał?

— Chyba rozmawiał się na rozmowę z którymś z dalszych pokoi?

— Nie, proszę pana! Jaśnie pan jeszcze nie wrócił.

— Więc wychodził z domu? Kiedy? Dokąd?

Stanął tajemniczo zniżając głos, mówił:

— Było tak. Wyszedłem tuż za panem w sień, gdzie miała oczekiwać go owa pani w żałobie. Rozglądnąłem się wkoło — w sieni nie było nikogo. Jaśnie pan myślał, że mu się powiodło lub że kpię z niego i już chciał mię surowo zganić, gdy wtem spojrzał ku wyjściu i jakby coś spostrzegł. Ja nic nie widziałem..... Pan otworzył drzwi i wyszedł na podwórze; ja za nim, lecz ręka wstrzymała mię i kazała nie ruszać się z miejsca. Potem przeszedł podwórzec, ciągle patrząc prosto przed siebie jak ślepy

z wyciągniętemi naprzód ramionami, którego kłos prowadzi. Tak przeszedł podwórze, klepisko i przez bramę wjazdową wyszedł na drogę przed dworem. Stangret, który drzemał we wozowni widział go takiego jak brnął przez śnieg i otwierał wierzeje – lecz oprócz pana nie dojrzał wkoło ani żywej duszy.... I tak wydostał się na czyste pole w mrok, w zawieje śnieżne po kolana. Bez płaszcza przeszedł, bez czapki, tak, jak wstał stąd od stołu! Widziałem go z dworu jak na dłoni. Wyraźnie zbrewił się na śniegu – choć dziś Księżycowa....

– Zbrewiłeś nie zdarzyło ci przynajmniej okrycia? – przerwał zmienionym głosem Kostrzycki – Tam na polu będzie z 20° mrozu. –

Stary bezradnie opuścił głowę:

– Nie śmiałem iść za nim; zabronił wyraźnie. W oczach miał przytem takie błyski, że coś mię od niego odpychało.

– I cóż dalej? Dokąd zaraz dziś?

– Nie wiem. Wiadomo go jeszcze czas jakiś na gościńcu; potem skręcić na lewo....

– W lewo! – podchwycił Biedrawa – ale traktem głównym skręca w prawą stronę! Na lewo biegnie droga....

– Na cmentarz – dopowiedział półgłosem sługa. – Tam mi zniknął z oczu.....

– Niema ani chwili do stracenia – zawołał nagle Zgorzelski, opanowując prawdziwe uczucie lęku jakiem przejęty słowem Filipa. – Trzeba zwołać pawłoków i za nagrodą obie sanie. Może go jeszcze ocalimy, o ile dotąd nie zamarł. –

– Pawłoków już wysłałem – odparł Filip – a sanie wielmożny pan też gotowe do odjazdu..... Ztąd moc godzin

wybrali pomoc na zabawę, bandytę owe.....

Mężczyźni ji na wyśmiewczym nómorzesinie zwrócili się pytająco ku starcowi:

— Dzisiejszej nocy — objaśnił — przypada rocznica śmierci nieboszczki pani.

Gdy, złamawszy tych słów, drzwi wolno się otworzyły się i do pokoju wszedł Borowski.

Okrzyk zgrozy powitał go u progu. Mimowoli jak przed widmem cofnęli się wszyscy w głąb sali.

Był blady jak płótno i rozczochrany jakby od snu. Gęste okiście srebrzyły się na włosach, rzęsach, biała taśma lodu obrzeżyła klapy fraka..... Patrzył w nich fosforyzującemi obłąkaniem i grozą oczyma....

Tak upłynęło parę ciężkich jak wieczność sekund.

Wreszcie rzekł bezdźwięcznym, jakimś obcym głosem:

— Zostawcie mnie samego.

Drewnianym krokiem podszedł do fotelu pod oknem i usiadł z trudnym, bezwładnym ruchem. Zmęczona głowa opadła ciężko na poręcz, oczy zamknęły się w przestrzeń pól. Wtedy spostrzegli, że Rozmuski był siwy jak gołąb.....

Milcząc trzech mężczyzn opuściło pokój i pośpiesznie zdziawszy futra, odjechali. Jakiś czas słychać było z oddali srebrzyste potrząsy dzwonków i rzemienie wygrzanych koni. Potem zaległa cisza.....

W komnacie zegar pod dzwonem pacierze regar późniejszy, krzątał się ostrożnie Filip, zbierając kor-

ty i gasnące dogorywujące świece.....
Ever szybę spływał cicho ~~do szali~~ brzask na pochylone nisko, mleczno-białe głowy wieczorny wr fotelu.....

— — — — — — — — — — — —

W trzy tygodnie potem rozeszła się po okolicy wiadomość, że Stefan Borowski zerwał z narzeczoną.

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

W zakładzie dra Ludzimirskiego zaniosło się na wielką uroczystość. Z parku otaczającego lecznicę, wnoszono wazony z oleandrami o świeżo rozwiniętych, blado-różowych pęczach, doniczki z kannami w posępnej, ciemnoczerwonej urodzie, pomarańczowo-ogniste irysy i tulipany. Grzegorz ogrodnik z widoczną niechęcią wydobył z oranżerji rzadkie okazy dalhji, bliźniacza parę eukaliptusów i ukochaną palmę — „królowę Kaszmiru" i ostrożnie ustawił kwiaty pod ścianami kurytarzy.

Na schodach, wiodących na piętro, rozbłysły żyrandole, rozrzucając z pod abażurów świetlane rozety blasków. W powietrzu unosiła się dyskretna woń werweny i heljotropu...

Kierownik zakładu w smukłym fraku przechadzał się po kuluarach gibkim, elastycznym krokiem, poprawiał świece w siedmioramiennych, bronzowych świecznikach, zaglądał od czasu do czasu przez kotarę w głąb „sali centralnej", dokąd służbie wstęp był surowo wzbroniony, to znów zadowolony z wyniku rewizji, zwracał uwagę krzątającym się w liberji lokajom na pewne braki, jakie jeszcze tu i ówdzie wyzierały. Zresztą usterki były drobne i obyci znać już z akcesorjami uroczystości ludzie, usuwali je z łatwością i wprawą.

Bo też nie po raz pierwszy urządzano coś podobnego w zakładzie. „Święto Gebrów" miało tu za sobą już pewną tradycję. Ceremonjał obrzędowy rozwijał się w zakładzie już od lat kilku, dzięki pomysłowości jego „wychowanków" i troskliwej opiece, jaką go otaczał sam kierownik.

Bo dr Ludzimirski stosował w leczeniu oryginalną metodę, polegającą na tem, by nie tylko w niczem nie sprzeciwiać się swym pacjentom, lecz owszem podtrzymywać, względnie „pielęgnować" z całym pjetyzmem „egzotyczne kwiaty, wyrosłe z podłoża chorych mózgów". Chodziło o to, by manja rozwinęła się do ostatecznych możliwości i przeszedłszy wszystkie możliwe stadja i ewentualności wyczerpała się i zginęła na uwiąd; wtedy miało nastąpić uzdrowienie. Zresztą nawet w wypadkach nieuleczalnych taka „hodowla obłędu" mogła, zdaniem jego, przynieść olbrzymią korzyść, jeśli nie dla danego pacjenta, to przynajmniej dla nauki, wzbogacając nadzwyczajnie psychologję chorób umysłowych.

To też od chwili objęcia zakładu t. j. od lat temu 15 z górą, prowadził psychjatra starannie dziennik przeżyć swych wśród obłąkanych, z których każdy miał poświęconą sobie osobną kartę. Z czasem notatki te urosły w szereg ciekawych życiorysów, traktowanych już oddzielnie, niby zamknięte księgi chorej myśli i jej dziwnych kolei.

Początkowo lekarz zdawał sobie dokładnie sprawę z przepaści, oddzielającej ten zabłąkany świat od sfery zdrowej, normalnej, chwytał w lot właściwe dystanse i dostrzegał z miejsca krzywizny i zboczenia. Powoli różnice te poczęły dlań zacierać się i przestały razić; owszem, po kilku latach tak oswoił się z szaleńczą dziedziną, że stała się mu niejako drugą rzeczywistością i to nawet znacznie głębszą i godniejszą uwagi, niż ta, w której obracali się ludzie poza jego zakładem. Dostrzegł w niej bowiem niejednokrotnie swoistą organizację, opartą na żelaznej, nieubłaganej logice. Co więcej, życie duchowe jego wychowanków wydało się znacznie bogatsze niż banalne historje „przeciętniaków", odśpiewujących niezmiennie, aż do znudzenia monotonne litanje codzienności.

Wtedy to zaszło w dziejach zakładu zdarzenie, które miało zaciężyć potężnie nad jego przyszłością. Stał się niem wybuch obłędu u dra Janczewskiego, osobistego przyjaciela Ludzimirskiego i w następstwie przyjęcie go w poczet pacjentów zakładu. Janczewski był potężną indywidualnością. Prace jego z zakresu psychofizyki wzbudzały zawsze ożywioną dyskusję w świecie naukowym, gdyż każda niemal rozprawa stanowiła epokę w dziejach badań psychicznych. To też wiadomość o jego chorobie sprawiła na wszystkich przygnębiające wrażenie. Ludzimirski odczuł to podwójnie głęboko i zajął się przyjacielem z ojcowską pieczołowitością.

Choroba wybitnego psychologa należała do typu, określonego przezeń, jako melancholja progressiva z domieszką t. zw. idées fixes. — Treść tych uporczywych myśli była nader swoistą: Dr Janczewski stał się manjakiem na temat ognia. W ciszy samotnych godzin spędzonych w celi zakładu, wypracował cały system t. zw. przez siebie „filozofji ognia", w której, nawiązując do teorji Heraklita i jego »panta rhej«, rozwinął zupełnie nowy, obłąkańczo oryginalny światopogląd.

Wkrótce po wykończeniu swego traktatu, a mniejwięcej w rok po wybuchu obłędu, umarł nagle w przystępie szału.

Lecz praca szaleńca nie miała przebrzmieć bez echa. Rękopis, odnaleziony po śmierci uczonego, przechowywał Ludzimirski starannie u siebie, by kiedyś po zaopatrzeniu go we własne odnotacje i spostrzeżenia wydać jako pośmiertne dzieło genjalnego przyjaciela. Na razie przestudjował pracę jak najdokładniej i zestawiwszy z poprzedniemi rozprawami zmarłego, starał się uchwycić ogniwa łączące. Orjentację w myślach często porwanych, rzuconych na papier bezładnie i bez porządku, ułatwiły wspomnienia wspólnych rozmów na ulubiony temat, jakie niejednokrotnie prowadził ze ś. p. p. Janczewskim już w czasie jego pobytu w zakładzie.

Zagadnienie, które oczarowało duszę opętańca w ostatnim roku jego ziemskiej wędrówki, zdawało się pogłębiać z rokiem każdym w umyśle Ludzimirskiego, nabierając kształtów pełnych i wykończonych. Lecz nie tylko na samym kierowniku lecznicy wywarło dzieło przedwcześnie zgasłego myśliciela tak silne wrażenie. Potężna jaźń Janczewskiego porwała w swoją orbitę i inne dusze. Mimo zupełnego prawie odcięcia go od reszty pacjentów, wpływ uczonego zatoczył rychło niewidzialne kręgi. W parę tygodni po przyjęciu go do zakładu, zauważył Ludzimirski szczególne zjawisko, które można było wytłumaczyć tylko t. zw. „zarazą psychiczną". Kilku z pomiędzy chorych zaczęło nagle zdradzać skłonność ku ideom musowym właśnie na temat ognia i jego symboliki.

Najciekawszym był szczegół, że paru osobników o ustalonej już strukturze obłędu, porzuciło świat swego monoideizmu, przechodząc w dziedzinę Janczewskiego. Potężna umysłowość umiała znać czarować i pociągać za sobą nawet w stadjum chorobliwem...

Ludzimirski, jak zwykle, nie przeciwdziałał. Owszem stwierdziwszy wprzód, że ów duchowy przelityzm na rzecz zmarłego przyjaciela i jego „wiedzy ognistej" odbywał się u rozmaitych wychowanków całkiem samorzutnie i bez wzajemnego na się oddziaływania, starał się skupić ich w rodzaj stowarzyszenia czy gminy przez ułatwienie im wymiany myśli i częste schadzki na terenie „sali centralnej".

(C. d. n.).

Nowa Reforma 1920, nr. 216-221.

...widowiczem i Łaszk... trwają poszukiwania. Nie jest wykluczone, że do stali się do niewoli bolszewickiej, bo część żołnierzy wzięto od niewoli. Wielu zwłok nie można rozpoznać, bo trupy, a zwłaszcza głowy, są zmasakrowane w nieludzki sposób.

W obronie Naczelnika państwa.

Warszawa, 11 września (Tel. wł.) Rada ministrów postanowiła przedstawić Radzie O. P. projekt ochrony Naczelnika państwa przed napaściami ze strony prasy. W każdym takim wypadku prokuratorja będzie ścigać bezpośrednio takie występki.

Hołd Torunia dla Naczelnika państwa.

Toruń, 10 września (PAT). Przedwczoraj odbył się tu wiec, zwołany przez narodową partję robotniczą na temat» Wojna a pokój«. — Wiec ten przy równoczesnej obecności w Toruniu prezydenta ministrów, zamienił się **w poważną manifestację, na rzecz jedności państwa i armji, a przeciwko wszelkim zakusom separatyzmu.** We wiecu uczestniczyło z górą 5 tysięcy osób.

Przyjęto szereg rezolucyj, między innemi **rezolucję, wyrażającą Naczelnikowi państwa i wodzowi naczelnemu oraz rządowi obrony państwa hołd i uznanie. Zebrani piętnują, wszelką agitację, podkopującą zaufanie do naczelnych władz państwowych i rządu centralnego.** — Uchwaloną rezolucję wręczono po wiecu prezydentowi ministrów, który życzliwie przyjął te postulaty.

Kwestja robotnicza w Anglji.

Londyn, 11 września (Tel. wł.) Kongres trade-unjonistów powziął wczoraj **ważne uchwały.** Komisja parlamentarna »Labour Party« będzie zastąpiona przez **Radę jeneralną,** obdarzoną bardzo szerokiemi pełnomocnictwami. Rada ta będzie miała za zadanie **skoordynować całą akcję robotniczą** trade-unjonistów we wszystkich sprawach zasadniczych i we wszystkich sporach, mogących wyniknąć między trade-unjonistami a właścicielami i rządem. W radzie tej po jednym delegacie będą mieli górnicy, robotnicy portowi i kolejarze. Robotnicy innych gałęzi będą mieli razem 4 przedstawicieli.

Londyn (East Express). **Rokowania między górnikami a ministrem handlu rozbiły się.** — Mają być podjęte na nowo przez Lloyd Georgea, który zwołał ministrów zainteresowanych w przesileniu i ma wziąć w ręce kierownictwo rokowań.

Sprawa robotnicza w Czechach.

Praga, 11 września (PAT). »Narodni Listy« donoszą: W ministerstwie opieki społecznej toczą się obecnie **narady nad ustawą w sprawie udziału robotników i urzędników fabrycznych w zysku.** Na wczorajszych obradach minister opieki społecznej dr Winter skonstatował, że w kwestji uregulowania udziału robotników i funkcjonarjuszy w zyskach nie doszło dotąd do porozumienia i że obrady natrafiają na trudności.

...dają: Ze Sztumu donoszą **o terorze wobec ludności polskiej,** co następuje: W Mikołajkach napadnięto w nocy na mieszkanie państwa Tomczaków, Stachowiaka i Przepiórskiego, powybijano im szyby oraz wygrażano się, że zostaną zabici, jeżeli się nie wyniosą. W Białym Dworze powybijano szyby i potrzaskano meble p. Stasińskiemu i Pestce. W Brunswałdzie napadnięto na ulicy na p. Kurkowskiego i na p. Stawikowskiego, odgrażając się, że ich zabiją, jeżeli się pokażą na ulicy. W Giecwałdzie poraniono p. Zakrzewskiego. W Konieczwałdzie i wielu miejscowościach zapowiadają Niemcy nowe rugi przymusowe.

Toruń, 11 września (PAT). Jak podaje »Gazeta Toruńska«, z północno-wschodnich krańców województwa pomorskiego donoszą, że **Niemcy ustawicznie planują i przygotowują napady zbrodnicze na nasze posterunki kontrolne.** Ostatnio trzech Niemców z Sicherheitswehry zamierzało zgładzić w sposób skrytobójczy nasz posterunek, który jednak uprzedzony zawczasu przez ludność polską o grożącem mu niebezpieczeństwie, zdołał wczoraj unicestwić ten niecny zamiar »neutralności niemieckiej«. Z całego naszego pomorskiego pogranicza północno-wschodniego ciągle dochodzą wieści o **podejrzanem gromadzeniu się Niemców,** o ustawicznych próbach rozbijania zapór granicznych siekierkami, wymuszanemi od ludności polskiej. Prócz tego ośmielił się niejaki podporucznik Treze, komendant tamtejszej niemieckiej straży granicznej »zakazać« oddziałom naszym patrolowania na granicach, grożąc w przeciwnym razie przyjściem Reichswehry i

kakrotnych nagleń, żeby Kraków wszedł na etat ministerstwa aprowizacji, minister zarządził wobec trudności wojennych, aż do ich usunięcia, przejście miasta na etat wydziału aprowizacyjnego przy jeneralnej delegaturze. Posiedzenie skończyło się późno, wobec czego obszerniejsze sprawozdanie podamy w dniu jutrzejszym.

OTWARCIE BIBLJOTEKI MUZEUM PRZEMYSŁOWEGO DLA PUBLICZNOŚCI. Celem uprzystępnienia jak najszerszym warstwom korzystania z bibljoteki miejskiego muzeum przemysłowego im. dra Baranieckiego w Krakowie, ul. Smoleńsk 9, II p., wprowadza się od września br. nowe zarządzenie, w myśl którego czytelnia dostępną będzie dla wszystkich bezpłatnie w godzinach od 10 do 1 i od 5 do 8 wieczorem.

O OTWARCIE SZKOŁY IM. KONARSKIEGO. — Wczoraj do prezydjum miasta przybyła delegacja nauczycielek szkoły im. Konarskiego z prośbą o uwolnienie szkoły od kwaterunku oficerskiego w celu rozpoczęcia nauki od 15 bm. Wiceprezydent Sare zapewnił delegację, że usunięcie kwaterunku oficerów, mieszkających obecnie w tej szkole nastąpi niebawem, wobec czego nauka w nadchodzącym roku szkolnym rozpocznie się bez przeszkody.

W SPRAWIE ZASIŁKÓW WOJSKOWYCH. Wedle rozporządzenia Rady obrony państwa w Warszawie wprowadzono normy, tyczące się rodzin, ubiegających się o zasiłki wojskowe, na podstawie których żony wojskowych mają otrzymać 300 mk., dzieci 200 mk., a rodzice 100 mk. miesięcznie. Jeżeli powołany do wojska nie jest żonaty, wówczas rodzice pobierają zasiłek w wysokości przyznawanej dzieciom, które mają do niego prawo do 14 roku życia bezwzględnie, do 18 roku, jeżeli uczęszczają do szkół, zaś ponad 18 rok skoro są stałe i trwałe niezdolni do pracy. Rodziny oficerów mają prawo do zasiłku, jeżeli ci w kasach wojskowych nie pobierają zasiłku na żony i dzieci, rodzice zaś wtedy, gdy złożą poświadczenie, że powołany do wojska nie jest żonaty i z kasy nie pobierał dodatku na rodziców. Powyższe rozporządzenie odnosi się tylko do rodzin wojskowych z armji polskiej, a nie do rodziców poległych, zaginionych i inwalidów b. wojsk austrjackich, które i nadal pobierają zasiłki wedle dotychczasowych norm. Natomiast

...nych przedmiotów liturgicznych. Przedmioty te pochodzą zapewne z kradzieży, popełnionej w ostatnich czasach w kościołach krakowskich.

WŁAMANIE. Onegdaj w nocy nieznani sprawcy włamali się do pałacu p. Czeczowej w Bierzanowie koło Krakowa i skradli 8 drogocennych futer damskich i męskich, uratowanych przed inwazją bolszewicką ze wschodniej Małopolski, oraz większą ilość srebra stołowego z herbem, tudzież monogramem J. Cz. Przedmioty skradzione przedstawiają wartość około miljona marek. Policja krakowska przy pomocy psa policyjnego „Aida" prowadzi na miejscu dochodzenia.

O NAPADY RABUNKOWE. Wczoraj zakończyła się przed sądem okręgowym rozprawa przeciw szajce bandytów, którzy w r. 1919 dokonali napadów rabunkowych na dom gospodarza Otwina, tudzież dwukrotnie na klasztor OO. Cystersów w Mogile, przyczem skradli rozmaite przedmioty wartości kilkudziesięciu tysięcy koron. Po przesłuchaniu kilkunastu świadków, tudzież wywodach obrońców, trybunał na podstawie werdyktu sędziów przysięgłych skazał Wąsikowskiego na 10 lat, Strychalskiego na 3 lata, Chojnackiego na 2 lata, a Chytrzyńskiego na 1½ roku ciężkiego więzienia. Nadto za ukrywanie skradzionych przedmiotów skazano Tomasza Milczanowskiego na 5 miesięcy, a Reginę Milczanowską na 4 miesiące więzienia.

NIEUDAŁA WYPRAWA WŁAMYWACZY. We wtorek znaleziono na parceli obok składu z dekoracjami teatralnemi przy ul. Radziwiłłowskiej w Krakowie narzędzia do włamania do kasy, które ukryli jacyś złodzieje, by w nocy móc przeprowadzić włamanie do którejś z kas, prawdopodobnie w znajdującym się w pobliżu urzędzie zbożowym. Policja natychmiast zarządziła na tej ulicy nadzór i w nocy przychwyciła na wspomnianej parceli znanych włamywaczy, a mianowicie Wojciecha Skowrona, lat 28, Wincentego Kiebzaka, lat 26 i Henryka Heilmanna, lat 27. Trójkę aresztowano w chwili, gdy przybyła po znalezione narzędzia. W czasie śledztwa oczywiście wypierali się wszyscy, jakoby oni narzędzia ukryli, jednak znalezione przy nich przedmioty złodziejskie świadczą o zamierzonej wyprawie.

Z KRONIKI KRADZIEŻY. Przytrzymano wczoraj na tandecie przy ul. Szerokiej niejakiego Józefa Cule-

„Nowa Reforma" Kraków 12 września 1920 Nr. 206

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

2 (Ciąg dalszy).

Po śmierci filozofa wpływ jego wzrósł do niebywałych rozmiarów i rozpanoszył się wszechwładnie po całym zakładzie, wiedza ognista wchłonęła w siebie niemal wszystkie te biedne, zabłąkane w labiryncie myśli dusze, przyćmiewając sobą nikłe roślinki jaźni drugo- i trzeciorzędnych. Prócz kilku niepoprawnych manjaków, chorych na dementia praecox, dementia paralytica progressiva, lub też paranoia senilis, reszta pacjontów hołdowała bezwzględnie filozofji ognia.

W rok po śmierci Janczewskiego zawiązało się w lecznicy bractwo „Gebrów“ czyli „Czcicieli ognia“ pod protektoratem kierownika zakładu. Co miesiąca urządzano wspólne pogadanki i odczyty, omawiano program przyszłych zadań towarzystwa, krytykowano, rozprawiano, debatowano zajadle.

Postać Janczewskiego urosła do rozmiarów proroczych, unosiła się niejako duchowo nad temi zebraniami; stał się zakładowym świętym, nazwano go swoim Zaratrustą; dzieło jego, odczytywane na posiedzeniach, nabrało z czasem znaczenia kanonu wiaru, przetworzyło się w rodzaj biblji i księgi objawień.

Wkrótce rozwinął się kult religijny ognia. Powstały z łona bractwa wydział, niby rodzaj kasty, miał sprawować wyłącznie czynności kapłańskie. I nazwano tych ludzi wspólnem mianem Mobed czyli kapłanami ognia. Powoli wytworzyła się hierarchja i podział na stopnie, wedle rodzaju wtajemniczenia. Wypracowano ceremonjał, ułożono rytuał dla wiernych.

Dominujące stanowisko w bractwie zajął sam Ludzimirski, w którym wyznawcy ognia wyczuli odrazu twórcę i organizatora. Kierownik zakładu był zarazem duchowym spadkobiercą Janczewskiego — Zaratrusty i pierwszym po nim prorokiem. Stał ponad zbiorem wolny od spełniania obrzędowych przepisów i formuł rytuału. Bracia między sobą nazwali go Atar'em czyli genjuszem przyrody.

Drugim duchem twórczym sekty i prawą ręką Ludzimirskiego w organizowaniu bractwa, był Athrarvan czyli Człowiek Płomienny, arcykapłan ognistej gminy. Najmłodszy z wiernych i najgorętszy wyznawca ognowego kultu, przed wstąpieniem w progi zakładu ubogi gruźlicą płuc zagrożony akademik, teraz urósł do godności duchowego menera, dzięki swemu fanatyzmowi i namiętności. Podobno nazywał się kiedyś Zarębski, lecz nazwisko jego światowe, wpisane w księgę chorych, wypadło wszystkim z pamięci: utonęło w ognistej sferze nowej wiary, by wyjść z niej oczyszczone z ziemskiej pospolitości i zabłysnąć świetnie w dymach ofiarnych kadzideł, w płomieniach obrzędowych objat.

On to przy pomocy kierownika stworzył właściwie zmodernizowany kult ognia, przystosował starą wiarę Avesty do zmienionych czasów i warunków. Najbardziej prostolinijny i najkonsekwentniejszy z grona braci, ustalił przebieg nabożeństw, ułożył ogniste litanje i hymny. Z jego to polecenia wprowadzono w zakładzie raz na miesiąc uroczyste nabożeństwo, zwane „Świętem sześciu ramion ognio-wych“, pod wpływem jego płomiennych kazań obchodzono dwa razy w roku obrzęd na cześć Mithry Cierpiącego.

I gdyby nie dzielne poparcie, jakie znachodził Atar w jego fanatyźmie, bractwo nie dałoby się na długo utrzymać we formie choćby zbliżonej tylko do ideału, jaki sobie wymarzył Ludzimirski.

Krnąbna umysłowość braci potrzebowała silnej ręki, by ją utrzymać na wodzach, wątłe i rachityczne roślinki ich myśli dopraszały się ustawicznej pielęgnacji, kapryśna wyobraźnia wymagała ciągłego ujmowania jej w karby, by nie popaść w bezdroża nonsensu.

I mimo obopólnych wysiłków nie zawsze się im udawało. Zgromadzenia często grzeszyły bezładem myśli, wichrowatością pojęć i warcholstwem ruchów. Jakiś ukryty djablik psuł niemal zawsze powagę nastroju, wprowadzając w miejsce pietyzmu i podniosłości, żywioł kpiąco-sowizdrzalski.

Już to wogóle kierunek, jaki po roku przybrała pieclatria, bardzo się nie podobał obu jej twórcom i kapłanom. — Raziła niepoprawna lekkomyślność, z jaką traktowali wyznawcy kwestje wiary i nauki, bolała naiwna zmysłowość w pojmowaniu głębokiej symboliki żywiołu. Najwstrętniejszą jednak wydała się wyraźna skłonność braci do interpretacji kultu w duchu djabolicznie-seksualnym. Obecność kobiet wśród czcicieli ognia przyczyniła się niewątpliwie w znacznej mierze do wybujania niepożądanego elementu.

Metoda niesprzeciwiania się, stosowana dotąd tak skutecznie, niebawem okazała się niebezpieczną, może nawet zgubną: Gebrom zaczęło grozić zupełne rozpasanie etyczne. Kult ognia przeradzał się zwolna lecz wyraźnie w wyłączną cześć dla Arymana i jego sześciu szatańskich satelitów, zaistniała poważna obawa, że święte obrzędy zamienią się wkońcu na wyuzdane orgje krwi i rozpustnej chuci. Już parę razy zdarzało się, że w czasie uroczystych zebrań kilku z pomiędzy mobedów uprowadzało w głąb sali chętne niewiasty, niby leśne sylfy w pogoni za jurnemi nimfami. W chwilach najdonioślejszych skupień, rozlegał się z kątów lubieżny chichot satyrów lub syrenie śmiech pieszczonych miłośnic.

Zgromieni przez Atara bracia pozornie ulegali, kając się w obłudnej skrusze, by ukradkiem, poza plecyma arcykapłanów korzystać ze sposobnej chwili, zaspakajając głód zmysłów rozjuszonych samek. Występek przybrał wkońcu charakter groźny i zbrodniczy. Pewnego dnia znaleziono w jednej z cel zwłoki obnażonej siostry Fiammety z pianą na ustach. Śledztwo wykazało, że wyzionęła ducha, załatwiona na śmierć przez jednego z „raspi'ch“, czyli służebnych kapłanów.

Nie pomogła chłosta cielesna, wymierzona winowajcy w obecności wszystkich z nakazu Athrarvana; nieodstraszeni przykładem Gebrowie, zapuszczali się dalej w manowce porubstwa. Wtedy arcykapłan chwycił się ostrzejszych środków: zaczął ograniczać swobodę braci, nakładał post ścisły, wprowadził biczowanie. By dać przykład, sam nie uchylał się od pokuty i z bohaterskiem samozaparciem się, odrzucał z pogardą potrawy uroczej Pyrofili, jednej z przodowniczek ogniowego chóru. Czystość kultu podtrzymywał przez wprowadzenie częstszych niż dawniej nabożeństw i ofiar, których wzniosłą symbolikę wyjaśniał w płomiennych, pełnych religijnego patosu przemowach...

Dzisiejsze święto miało być podwójnie uroczyste; schodził się w niem bowiem t. zw. „dzień dobrych żywiołów“ z rocznicą śmierci zakonodawcy sekty, Janczewskiego.

To też przygotowania prześcignęły wszystko, cokolwiek dotąd dla kultu zrobiono; Ludzimirski chciał, by w dzisiejszy wieczór zabłysnął w pełnej krasie egzotyczny kwiat ognia i wydał owoc dojrzały, niezwykły, jak ów krzew cudowny z baśni dalekiego Wschodu, co raz na wiek stroi się w pęcze i płód ma przewenny, jedyny...

Rozległ się dźwięk elektrycznego dzwonu na znak rozpoczęcia uroczystości.

Po obu stronach długich, kobiercami wysłanych korytarzy, pootwierały się drzwi i z cel zaczęły wychylać się postacie braci, spieszących niecierpliwie na obrzęd. Wszyscy zdążali do sali centralnej na piętrze, przemienionej już od roku na świątynię ognia. Jedni przybrani byli w pomarańczowe chylaty wschodnich ofiarników, inni wdziali stroje fantastyczne, pełne obrzędowej symboliki i barwy, parę kobiet wystąpiło w białych, powłóczystych płaszczach rzymskich Westalek.

Kotara, oddzielająca świątynię od przyległej poczekalni, rozsunęła się na dwie strony i przepuściwszy w głąb sanctuarium tłum braci, zamknęła się za nimi z powrotem...

(C. d. n.).

...kiego.

Lyon, 12 września (PAT). Konferencja ambasadorów, która zebrała się w piątek rano pod przewodnictwem Juljusza Cambona, postanowiła wysłać **notę do Niemiec, protestującą przeciwko aresztowaniu w kanale kilońskim statku, zdążającego do Gdańska.** Badała ona również notę niemiecką, protestującą przeciwko decyzjom, powziętym przez aljantów co do plebiscytu w Kwidzynie.

NIEMCY WYPUSZCZAJĄ BOLSZEWIKÓW.

Gdańsk, 12 września (PAT). »Dziennik Gdański« donosi **o masowem przechodzeniu przez granicę bolszewików, internowanych przez Niemców w Prusach Wschodnich.** Bolszewicy — pisze »Dziennik Gdański« — łączą się w punktach koncentracyjnych z armją bolszewicką. **Władze niemieckie pozwalają na to otwarcie, udzielając jeńcom wszelkiej pomocy.** I tak np. stwierdzono, że pewien wyższy oficer w Arys oświadczył bolszewikom, że ich rozpuszcza i że mogą czynić, co się im podoba. Ogromne masy bolszewików pod Goldawą przechodzą pod dowództwem oficerów, którzy są zaopatrzeni w mapy i kompasy. Im bliżej granicy, tem większe bandy bolszewickie skupiają się, mając dokładnie oznaczoną marszrutę. **Nietylko rząd niemiecki, ale ludność niemiecka wspomaga uciekających wszelkiemi sposobami, udzielając im żywność itd.**

CZESI WSTRZYMUJĄ AMUNICJĘ DLA POLSKI.

Wiedeń, 12 września (PAT). Donoszą z Pragi wedle doniesienia »Prawa Ludu«: W Przerowie **zatrzymali tamtejsi kolejarze transport munduru i amunicji, przeznaczone dla Polski.** Unja kolejarzy obradowała nad ewentualnie za to będzie **towary metalowe i włókniste.** Traktat będzie wymagać ratyfikacji Sejmu.

Warszawa, 12 września (Tel. wł.) Z wiarogodnych źródeł dowiaduję się, że pobyt min. Grabskiego w Paryżu został **przedłużony na czas nieokreślony,** a to wobec układów, toczących się tam **w sprawie koncesyj, jakich zażądała Francja za udzieloną Polsce pomoc.** Jak się dowiaduję, na dotychczasowych naradach zostało już ustalone ustąpienie Francji dużego udziału **w monopolu tytoniowym** w Polsce. Dalsze układy dotyczą sprawy nafty i cukru.

Take Jonescu o „małej ententcie".

Wiedeń, 12 września (PAT). Donoszą z Paryża: Take Jonescu oświadczył w Aix-les-Bains w wywiadzie z korespondentem »Excelsior«, że mała ententa jest **wprawdzie mała w porównaniu do ententy mocarstw zachodnich, jednak dla osiągnięcia swych celów jest dostatecznie wielką.** Gdyby przybrała takie rozmiary, o jakich się mówiło w roku 1918 i 1919, musiałaby sięgać od morza Bałtyckiego aż do morza Egejskiego i objąć wszystkie państwa zwycięskie wschodnie. **Polska nie mogłaby pozostać poza tą ententą.** Narazie podstawą przymierza między Czechosłowacją a Jugosławją jest traktat w Trianon i wspólność interesów między Rumunją a Czechosłowacją. Traktat z Trianon musi pozostać nienaruszony. Jest krótkowidztwem traktować każdy traktat z osobna. Wszystkie stanowią całość. Mała koalicja byłaby przeciwwagą wobec Niemiec i Rosji, gdyby te państwa utworzyły blok przeciw traktatowi wersalskiemu. Należy się liczyć z możliwością, że państwa zwyciężone znowu ...ocz trzeba czynić dalsze zań wierceenia i doprowadzać ją na miejsce przeznaczenia. To już mógł był rząd polski uczynić i bogdaj prowizoryczne nowe jakieś, drewniane na razie łazienki zbudować. Byłoby to więcej celową akcją, niż zbudowanie kąpieli słonecznych, nawiasem powiedziawszy w miejscu niebezpiecznie obranem (naprzeciw pensjonatu dra Zarzyckiego).

Daje się także odczuwać coraz dotkliwiej brak większego, po europejsku urządzonego hotelu. »Dom Zdrojowy« nie może zastąpić hotelu, a wille, czyli pensjonaty, nie odpowiadają wzmagającej się frekwencji, nie mówiąc już o tem, że z pewnemi wyjątkami, budowane są dość prymitywnie i nie dają wygód chorym zwłaszcza ludziom, którzy tutaj nie dla zabawy, lecz dla poratowania zdrowia zjeżdżają. Parterowe mieszkania w takich drewnianych willach, wtłoczonych często w zalesione zbocza gór, przeważnie wilgotne, dają się we znaki, zwłaszcza w czasie słoty i chłodów.

Nie pomyślano też dotychczas w Krynicy, pomimo, że istnieje ona już wiek cały i do najstarszych w Polsce kąpieli należy, o zbudowaniu szpitala, urządzonego w duchu nowoczesnym. — Jest tylko szpitalik izolacyjny, który zwykle stoi pustką. A przy takim, jak obecnie, napływie kuracjuszów, trafiają się wyadki poważniejszych zasłabnięć. I wtedy dopiero rozgrywają się tragiczne sceny. Sprowadza się na przykład lekarza specjalistę dla wykonania nie cierpiącej zwłoki operacji, którą wśród ryzykownych warunków wykonywać się musi w małym pokoju willowym lub hotelowym. A przecież gros gości, to ludzie chorzy, których choroba różne mieć może fazy. Lekarzy fachowych i zdolnych na Krynicy pod dostatkiem, ale o jakiemś sanatorjum lub szpitalu nikt dotąd nie pomyślał.

Jak wszystkie nasze miejsca kąpielowe i uzdro-

...ul. przy ul. Siemiradzkiego 24 o godz. 8 rano w następującym porządku: Dnia 15 bm. urodzeni w r. 1889 z nazwiskiem od A—F, 16 bm. urodz. 1889 od G—K, dnia 17 bm. 1889 od L—R, dnia 18 bm. 1889 od S—Z, dnia 20 bm. 1888 od A—F, dnia 21 bm. 1888 od G—K, dnia 22 bm. 1888 od L—R, dnia 23 bm. 1888 od S—Z, dnia 24 bm. 1887 od A—F, dnia 25 bm. 1887 od G—K, dnia 27 bm. 1887 od L—R, dnia 28 bm. 1887 od S—Z, dnia 29 bm. 1886 od A—G, dnia 30 bm. 1886 od H—L, dnia 1 października 1886 od M—R, dnia 2 października 1886 od S—Z, dnia 4 października 1885 od A—G, dnia 5 października 1885 od H—Ł, dnia 6 października 1885 od M—R, dnia 7 października 1885 od S—Z, dnia 8 października 1902 od A—F, dnia 9 października 1902 od G—K, dnia 11 października 1902 od L—R, dnia 12 października 1902 od S—Z. Popisowi powiatu krakowskiego będą stawać w Krakowie od 15 bm. do 29 bm. z powiatu podgórskiego w Podgórzu (Sokół) od od 30 bm. do 7 października; z powiatu bocheńskiego w Bochni od 15 września do 1 października; z powiatu wielickiego w Wieliczce od 4 października do 14 października, z powiatu chrzanowskiego w Chrzanowie od 15 bm. do 7 października br.

W SPRAWIE ZBIÓRKI SREBRA I ZŁOTA. Z K. O. P. donoszą: W niedzielę dnia 12 bm. o godz. 5 po poł. odbędzie się w sali Kopernika na uniwersytecie Jagiellońskim zebranie obywatelskie w sprawie zbiórki srebra i złota. Wydział propagandy kobiet, w którego skład wchodzą reprezentantki wszystkich stowarzyszeń kobiecych, zaprasza na to zebranie jak najszersze koła obywatelstwa krakowskiego.

ZBIÓRKA ULICZNA NA RZECZ SIEROT PO POLEGŁYCH. Dnia 12 bm. w niedzielę odbędzie się zbiorka na rzecz sierót i wdów po poległych. Związek inwalidów, nie mając żadnych dochodów prócz własnych wkładek, zwraca się z gorącą prośbą do społeczeństwa o poparcie materjalne. Zwracamy się do szanownej publiczności, że od pewnego czasu niepowołane osoby wyłudzają pod rożnemi pozorami datki na ofiary wojny. Z temi osobnikami związek nie ma nic wspólnego.

POSIEDZENIE RADY APROWIZACYJNEJ. Na posiedzeniu krakowskiej rady aprowizacyjnej, która odbyła się onegdaj, złożył subkomitet, wydelegowany przez komisję aprowizacyjną sprawozdanie z badań, jakie przeprowadzał na miejskiej centralnej targowicy na bydło nad cenami żywego towaru. Na podstawie powyższego sprawozdania pełna komisja aprowizując omówienie sztuki, kojarzącej literackie i poetyckie zalety z wykwintną robotą sceniczną, nadmienić trzeba, że wykonawcy starali się w zakresie możności stanąć na wysokości wymagań sztuki i autora i wysiłkiem intuicji aktorskiej skutecznie dopomogli mu do zwycięstwa. Główna rola Ady Calori śpiewaczki znalazła w p. Pancewiczowej przedstawicielkę, łączącą wielki kobiecy wdzięk z finezją rutynowanej amoureuzy. Dwóch satelitów prześladujących Adę swą miłością odtworzyli z dużą siłą charakterystyki pp. Nowakowski i Guttner, którzy łącznie z paniami Ordyńską i Makarczykówną stworzyli stylowy zespół lirycznej komedji. Publiczność przyjęła sztukę bardzo gorąco. wp.

NAJBLIŻSZĄ PREMJERĄ W „BAGATELI" będzie „Strażnik cnoty", który już jutro, w poniedziałek, pojawi się na scenie teatru naszego w pierwszorzędnej obsadzie i wspaniałej dekoracyjnej szacie.

KWATERY W KLASZTORACH. Chodzą słuchy po mieście, że tutejsze klasztory zdecydowały się oddać dobrowolnie na cele ewakuowanych zbędne swe lokale klasztorne.

SENSACYJNA AFERA NA TLE DOSTAW WOJSKOWYCH. Przed kilkunastu dniami doniesiono do krakowskiego urzędu walki z lichwą, że towarzystwo handlowe, firma „Pol", ul. Siemiradzkiego 10, prowadzi transakcje handlowe artykułami żywnościowemi na wielką skalę, nie posiadając na to koncesji, w myśl par. 10 z dnia 24 marca 1917 roku. Przeprowadzono więc dochodzenia, podczas których okazało się, że firma ta posiada tylko rubrum na sprzedaż artykułów, będących w wolnym obrocie handlowym, mimo to jednak podjęła się ona dostaw dla armji, zawierając w tym celu specjalną umowę z intendenturą, wedle której dostarczała wojskowości artykułów spożywczych wartości miljonowych. Jak stwierdza zestawienie towarów zamówionych, firma wliczała do rachunku 5 procent prowizji tytułem usług i 2 procent za koszta administracyjne, co łącznie wynosi 8,668.595 marek. Należy dodać, że w myśl umowy wojskowość starała się o wszelkie dokumenty przewozowe, pomoc u władz, odpowiedni konwój dla wagonów, oraz, jak wskazują kupcy-konjałów, dała pieniądze z góry, wobec tego trudno pojąć, za co pobierano owe 7 procent. Wskutek braku oryginalnych faktur na dostarczone rumuńskie towary we firmie, organa śledcze nie zdołały wykazać kalkulacji odnośnie do wszystkich artykułów, dostarczanych wojsku. Stwierdzono jednak, że

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

(Ciąg dalszy).

Przedziwny obraz roztaczał się przed oczyma wiernych. W środku sali, obitej od nosadzki do stropu kitajką cynobrowo-żółtawej barwy, wznosił się stopniami w kształcie piramidy o ściętym wierzchołku olbrzymi po dach domu sięgający ołtarz z cedrowego drzewa. Nad balustradą platformy szczytowej sklepiła się tafla stropu, która w chwili rozpoczęcia obrzędu odwinęła się w górę, odsłaniając nad głowami Gebrów granatowy, gwiazdami usiany firmament nocy lipcowej...

Nagle ze złotej trapezy u szczytu buchnął w niebo ogień ofiarny, zażegnięty ręką Athrarvana; naczelny mobet ze złożonemi na piersiach rękoma, wpatrzony w płomienie paleniska, pogrążył się w zbożnem skupieniu. Ubrany w szeroki, purpurowo szkarłatny płaszcz, z rytualną przepaską fadam na ustach, w miękkim szafranowym zawoju na głowie, wyglądał jak wcielony po wiekach awatar któregoś z arcykapłanów boskiego Agni. Twarz jego fanatyczna, ostro zarysowana w krwawym żarze ołtarza, górowała wysoko nad tłumem niby wykute w marmurze oblicze wschodniego bóstwa...

Poniżej ofiarnego stołu na stopniach piramidy, gorzały w lampach z drogich kamieni różnobarwne ognie jak rozbite na siedem pasm kolory tęczy. Wykwitały płomienie zielone z cudnie rżniętych ampuł ze szmaragdu-kamienia, co przed epilepsją chroni — łagodne, fjołkowe z czar ametystu — ponsowo-szkarłatne ze smukłych lychnosów z krwawnika — doradcy wesela lub z kornaliny pomocnej w chorobach miesięcznych. Ciemno błękitne lub modro-niebieskie języki dygały w roztruhanach z szafiru, kagankach z turkusu, wlewając w serca struchlałe i smutne leki na trwogę i melancholję — pomarańczowe w baniach z topazu i turmalinu, broniąc przed troską i lunatyzmem, ciemno-żółte wśród zwojów muszli z jaspisu, oślepiająco biało w żyrandolach z agatu, rozpogadzając dusze i lecząc nudę...

A wśród tych płomieni, strzelających z kosztownych świeczników z lamp alabastrowych i z latarń przedziwnych, przesuwały się jak na jakiejś szaleńczej maskaradzie postaci obłąkanych Gebrów w strojach cudacznych. I była ta wielka, ogniowa reduta jakby pomieszaniem wszystkich stylów; zdawało się, że cokolwiek ludzkość od prawieków stworzyła w dziedzinie obrzędowej mody, tutaj skupiły się jakby na rewję dziejową.

Obok powłóczystych burnusów kapłańskich gorącego Wschodu, syryjskich chlamid słońca, krzyczących sytością barw płaszczy i tiar służebników Izydy, Mithry i Ammon-Ra-Jowisza, snuły się senne majaki w dymie ofiarnych kadzideł greckie, niepokalanie białe peplosy i chlajny, dostojne rzymskie togi i dalmatyki. Obok fantastycznych szat ofiarników Brahmy, strojów służebnych wyznawców Buddhy, dziwacznych szat kapłanów Malabaru i Ceylonu, widniały w kłębach spalonych na ołtarzach mirry chrześcijańskie stuły i ornaty, obwieszone amuletami opończe indyjskich „lekarzy", popstrzone symboliką znaków skórzane kubraki murzyńskich cudotwórców...

Na czwartym stopniu piramidy, pod cudną lampą w kształcie rozwartego kielicha lotosu, w którym chełbiły się węże szkarłatnego ognia, stał jeden z raspich i wołał wielkim głosem:

— Jestem płomień, syn Ognia. Urodziłem się z Iskry, jego kochanki w godzinie miłosnej tęsknoty.

I wygiął ciało w giętką, esowatą linję płomienia.

— Syn Ognia i Iskry miłością tchnę cały i żarem pożądań. Pójdź do mnie, wstydliwa Scintillo! Ogarnę cię oplotem mych ognistych ramion i rzucę w otchłań słodkiego zapomnienia.

I chwycił w pas bladą, smukłą kapłankę.

— Panowie i panie! — krzyczał olbrzymi Gebr, pochylony nad żarem jednego z dymiących ołtarzy. — Mnie wpierw słuchajcie! Jestem Prometeusz! Ten sam, co przed wiekami wykradł zazdrosnym bogom ogień z wierzchołków Olimpu i ludziom przyniósł na ziemię. Bracia! Bogowie — to kłamcy i podli fałszerze! Złamałem ich moc złośliwą, strzaskałem łańcuchy, co mię przykuły do stoków Kaukazu.

Tu podniósł w górę pudełko z tutek do papierosów:

— Lecz słuchajcie, bracia Gebrowie — ciągnął przyciszonym, tajemniczym głosem — Ludzkość zgubiła gdzieś w drodze ogień Prometeuszowy, zastępując go innym, który jest tylko jego nędzną podróbką, manną imitacją. I oto, bracia, po raz drugi zstąpiłem ze szczytów pomiędzy was, o wielce ukochani, by wam święty żywioł powtórnie ofiarować. Mam jeszcze jedną iskierkę — ukryłem ją na zapas w tej skrzynce cudownej, którą zowią narthex. Oto ona!

I otworzył z chytrym uśmiechem łą zawiędłych ustach pudełko. Z wnętrza wniosło się parę uwięzionych much i z bzykiem poszybowało w głąb świątyni.

— To muchy! — wydęła pogardliwie wargi jakaś czarnowłosa, na pół obnażona hetera, podnosząc w górę brwi pociągnięte antymonem.

— To iskra boża, kochanie — odpowiedział Prometeusz, wlokąc ją już w ciemniejszą partję sali poza promieniem ołtarzy...

W głębi świątyni odezwał się ktoś zwierzęcym rykiem:

— Przedemną się korzcie, przedemną drżyjcie! Dahâka jestem, sługa pierwszy potężnego Arymana. Mam trzy łby i 3 pary oczu. Mieszkam z panem moim na górze Arezura i wspieram go w walkach z przebrzydłym Ahura-Mazdą.

I zaniósł się potwornym, ścinającym krew w żyłach rehotem.....

Na północnej ścianie piramidy tarzał się w konwulsjach jakiś chudy, o hektycznych wypiekach na twarzy opętaniec, rzucając od czasu do czasu w tłum na dole urywane groźby:

— Patrzcie tu na mnie, niewolnicy okrutnego Arymana. Jestem jednym z jego towarzyszy-duchów elementarnych, diwem pożaru i czerwonego moru. — Patrzcie, jak się tarzać muszę w spazmach ogniowej katuszy. Pożar mam w żyłach, ogień w krwi... Eheu, eheu!

I toczył krwawą pianę z ust na stopnie ołtarza.

(C. d. n.).

pospolitość ziemska...

Tak więc kiedy robotnicy metalowi przeprowadzają już program socjalistyczny w praktyce, robotnicy zaś rolni zapowiadają jego przeprowadzenie, cała reszta proletarjatu włoskiego stoi gotowa do udziału w tej walce pracy z kapitałem, na wypadek, gdyby rząd uznał za stosowne złamać — neutralność. W opisanych warunkach rząd Giolittiego nie śpieszy się też z popełnieniem takiego błędu, który przy istniejącem napięciu umysłów w ciągu dwudziestu czterech godzin zanarchizowałby stosunki w całem państwie. Rząd wybrał w danych warunkach jedynie rozumną taktykę wyczekiwania i pozwolenia ruchowi na swobodne rozwinięcie się we wszystkich jego konsekwencjach. Minister pracy Labriola powiedział wyraźnie, że rząd nie będzie siłą bronił ustroju kapitalistycznego, ale będzie się starał, aby nowy ustrój socjalistyczny, jeżeli on jest wogóle możliwy do przeprowadzenia, wszedł w życie bez rozlewu krwi i zniszczenia mienia narodowego.

Ten niebywały dotąd liberalizm rządu ma swoją ukrytą myśl, mianowicie, że całe przedsięwzięcie robotnicze z socjalizacją fabryk zakończy się w najbliższej przyszłości samo ze siebie całkowitem fiaskiem... Nadzieja ta opiera się na założeniu, że robotnicy tylko tak długo mogą sami prowadzić fabryki, dopóki znajdują w nich konieczne surowce. Gdy się one wyczerpią, robotnicy będą musieli zwrócić się do rządu o pomoc, a wtedy rząd będzie mógł dyktować warunki. Ale rząd się myli. Robotnicy włoscy mają dostateczne zapasy surowców i nie potrzebują się obawiać, że wkrótce zabraknie im surowców. Ale nawet gdyby zabrakło, to i wtedy nie będą musieli zwrócić się do rządu o pomoc, bo mają inne wyjście. Mianowicie mogą zwrócić się do robotników innych krajów, a przedewszystkiem do robotników rosyjskich, którzy dostarczą im surowców w zamian za produkty fabryczne. Rząd włoski nie ma tego wyjścia, bo nie ma stosunków z Rosją sowiecką. Rząd włoski nie ma też wyjścia z innego jeszcze względu. Mianowicie, jeżeli robotnicy włoscy zwrócą się do robotników innych krajów o pomoc, to robotnicy innych krajów nie odmówią im pomocy, bo nie chcą dopuścić do tego, aby robotnicy włoscy zostali pokonani przez kapitał. Rząd włoski nie ma tego wyjścia, bo nie ma stosunków z robotnikami innych krajów. Rząd włoski nie ma też wyjścia z innego jeszcze względu. Mianowicie, jeżeli robotnicy włoscy zwrócą się do robotników innych krajów o pomoc, to robotnicy innych krajów nie odmówią im pomocy, bo nie chcą dopuścić do tego, aby robotnicy włoscy zostali pokonani przez kapitał.

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

(Ciąg dalszy).

He, he, he! — zachichotał jakiś brat w kutym, zielonym fraku. — Tere, fere, kuku — strzela baba z łuku! Pozdrowienie wszystkim od Lucypera! Macie virtute estote, carissimi! Diabolus claudicans sum — vulgo Duliban lub Kostruban staropolski, jeśli milej dla ucha. Przychodzę wprost z piekieł. Uf, tam gorąco! Grzeszki swędzą, braciszkowie mili — grzeszki palą, o palą, aż skóra trzeszczy! Zwłaszcza te cielesne, he, he, he, piękne siostrzyczki, he, he, he! Afekty carnis lubieżne...

Gwizdnął przeciągle w palce i przepadł w tłumie. Uroczystość powoli przeradzała się w bachanalję szaleńców. Zmącone oddechami ust, płomienie lamp pochyliły się żałobnie w jedną stronę niby ręce, błagalnie w dal wyciągnięte. W powietrzu unosiły się zmieszane wonie lewantyńskich pachnideł, zawrotny zapach olejków, żywicy i swąd spalonego drzewa. Ktoś zarzucił na klosze lamp płonących dotąd jasnem, oślepiająco-białem światłem acetyliny czarne, koronkowe ciemniki — i zaczęły gorzeć z poza zasłon ponuro jakoś i żałobnie...

Na estradzie, obciągniętej czerwonem suknem, zjawiło się parę pijanych już winem objat ofiarnic, otaczając korowodem jakiegoś pięknego młodzieńca we wieńcu fjołkowym na skroniach.

— Miejsce dla Agni-Erosa! — wołał półnagi oblubieniec. — Miejsce dla boga miłości i ognia! Otom jest najwyższym i ostatnim stopem dwóch bóstw w jednej postaci — ideałem przeczutym przed wiekami, zrealizowanym za dni dzisiejszych!

— Hosanna! Agni-Erosie! Witaj, Ogniu miłości! Cześć i chwała, Miłośniku Ognisty! — odpowiedzieli zgodnym chórem Gebrowie.

A on demonicznie uśmiechnięty, zdzierał już szatę z jednej z tańczących wkoło niego tyjad.

Ludzimirski — Atar zmarszczył się. Wyciągnął groźnie rękę w kierunku rozpasanej grupy i spojrzał bystro na szczyt piramidy.

Rozległ się nagle spiżowy dźwięk trąby i spłynąwszy z platformy stropowej w mosiężnych kręgach, przejął dreszczem rozwydrzoną zgrają. Ścichły momentalnie cyniczne chichoty, pogasły wykwitłe już na ustach uśmiechy...

Przechylony przez balustradę Athrarvan, utopił surowe spojrzenie w twarz Agni-Erosa i przemówił:

— Marny człowieku, dlaczego przybrałeś fałszywe imię i braci swych zwodzisz? Puste są słowa twoje i dudnią jak próżne sądki zdunowe. Ruja i pohulstwo w ustach twoich, lubieżu i wszeteczność w sercu.

Tu podniósł głos i zstąpiwszy o parę stopni w dół, tak mówił do szalonych współbraci:

— Otoście zatracili ducha światłości i prawdy, a poszli drogą mroku i zbrodni. Otoście skalali czystość świętego Agni i obniżyli haniebnie ton wiary. Zbezczeszczone są przez was ofiarne ołtarze, zohydzony boski Ogień przez złe, występne żywioły, które panoszą się teraz w świątyni dzięki wam, o małoduszni!

Posunął się znów parę stopni w dół i machylił nad dymiącym ołtarzem u węgła piramidy. Maska jego ostra, fanatyczna wyglądała w blaskach pełgających płomieni, jak zagniewana twarz któregoś z bogów:

— Bo powiedział Zoroaster: „Wybierajcie! Wokoło człowieka porusza się cały świat geniuszy dobrych i złych. I zaprawdę jest człowiek przez niebo najbardziej umiłowany. Lecz zło jest też wolną praprzyczyną niezależną i trzeba je ujarzmiać i ujarzmione precz odrzucić". — Lecz wy, małoduszni i słabego serca nie tylkoście go nie ujarzmili, lecz owszem ułatwili mu przystęp, hołdując swym zmysłom. Przeto otwarliście bramę mocom złym i występnym. I wtargnął w świątynię waszą fałszywy mowca i kłamliwy język, któremu na imię Ahryman i jego sześciu szatańskich towarzyszy i sług: diwy.

— Athrarvanie! — przerwał mu jakiś głos ochrypły z tłumu — szanujemy twą wiedzę głęboką i duszę stałową — lecz i ty człowiekiem tylko jesteś i wszystko, cokolwiek powiesz, względnem jest tylko i niepewnem. Wszak nie zaprzeczysz, że ogień uważają ludzie od dawna za symbol chuci i pożądań zmysłowych? Czemuż się gniewasz i dziwisz?

Arcykapłan gwałtownym rzutem podniósł w niebo roznamiętnioną twarz. Zapanowało głuche milczenie. Zdawało się przez chwilę, że nie znajdzie odpowiedzi. Lecz on znać tylko siły zbierał i słów szukał. Bo nagle, wyciągając ramiona ku Gebrom, zagrzmiał potężnym głosem wschodniego muezina:

— Fałsz i kłamstwo! Tu właśnie tli zarzewie obłędu, w jaki popadła nasza wiara. Ogień od prawieków jest żywiołem czystym i dobrym, bo rodzi ciepło i ruch, bo daje życie. Symbolika, o którą potraciłoś, opętany bracie, jest tworem późniejszym, wtórnym i fałszywym — to obraz zwyrodnienia i pomieszania pojęć pierwotnych, bliższych prawdy i ideału. Ojcowie nasi tak czcili święte Agni, że przy ofiarach zasłaniali usta przepaską fadām, by nie kalać oddechem czystego żywiołu. Ogień jest elementem nieskalanym i ma moc oczyszczającą. Czyżbyście zapomnieli o wierze chrześcijan w czyściec?

Umilkł na chwilę i z falującą wzruszeniem piersią patrzył gdzieś daleko w przestrzeń. — Wśród uroczystej ciszy słychać było tylko pryskanie przepalających się na ołtarzach bierwion i trzask płomieni...

Nagle z grona kobiet u stóp piramidy wysunęła się smukła, jasnowłosa kapłanka w stroju rzymskiej Westalki i podszedłszy do arcykapłana, zarzuciła mu namiętnie na szyję parę różowych, strojnych w manele ramion.

(Dok. nast.).

...ewidentnie doprowadzić może do tarć i do plemiennych niezgód, wynikających z chęci wywyższenia się jednego narodu nad inne.

Gdyby miało przyjść do federacji, Serbowie nie dopuściliby w żaden sposób, by Bułgarja weszła w skład zjednoczonych stanów południowej Słowiańszczyzny, jak się Chorwaci tego domagali, a w wypadku, gdyby się nadzieje Chorwatów spełniły, czyż nie powstałoby niebezpieczeństwo, iż Bułgarzy i Chorwaci podadzą sobie ręce... przeciw Serbom?

Zadaniem więc Sejmu przyszłego będzie zastanowić się nad możliwością i drogami, prowadzącemi do zjednoczonego państwa, nad sposobami utrzymania właściwości plemiennej, które są i tak te same, lub podobne u wszystkich trzech plemion. Pierwszym krokiem ku temu byłaby wspólna literatura, która nie wykluczałaby przecież więcej niż jedno centrum kultury, dalej rozdział kościoła od państwa i, co niektórzy radzą, wypuszczanie pytania religji w urzędzie i sądzie, by religja z biegiem czasu weszła do prywatnej rzeczy jednostki, na którą nikt zwracać uwagi nie będzie. Niebezpieczeństwo, na które niektórzy wskazują, iż Serbowie odbierać będą chleb swym współplemieńcom, o ile idea państwa centralnego zwycięży, nie wytrzymuje krytyki, gdyż nie posiadają oni za wiele inteligencji, przeciwnie Serbja zostanie zmodernizowanie systemu kolejowego, do czego potrzebne są kapitały amerykańskie; tysiące domów musi się wybudować, wszędzie potrzebne są szkoły.

Wierzę — oświadczył p. Grabski — że robotnicy polscy oprą się bolszewizmowi. Chcemy wszyscy pracować, ale do tego potrzeba aljantów, aby wroga pokonać. Polska — mówił nareszcie — chce sprawiedliwego pokoju, imperjalizmu nie uprawia, w sprawie Litwy chce się trzymać linji, przyznanej przez Radę najwyższą.

Niedyskrecje polityki p. Paderewskiego

Aix les Bains, 16 września. (Havas). W czasie wywiadu z korespondentem »Intransigeant« Paderewski oświadczył, że Polska zaciągnęła wobec Francji święty dług wdzięczności. Jen. Weygand przyczynił się znacznie do zwycięstwa, do Francji zaś powrócił po dokonaniu dzieła. Paderewski uważa, że jest rzeczą trudną, aby pokój był trwały, wobec tego, że istnieje ścisłe porozumienie pomiędzy bolszewikami a Niemcami. Paderewski dodał, że Polska utrzymuje doskonałe stosunki z rosyjskimi patrjotami, między nimi z Wranglem, gdyż w Rosji żyją jeszcze szczerzy patrjoci, o czem niebawem będzie się można przekonać. Paderewski oświadczył wreszcie, że był jednym z pierwszych, którzy dążyli do zgrupowania państw sąsiadują...

...niemieckiego. »Vossische Zeitung« wątpi, czy układy oznaczają znaczny postęp i jest zdania, że niesłusznem jest stawiać daleko idące wnioski z powodu niezdecydowanego stanowiska Anglji. »Berliner Tageblatt« wskazuje, że wspólne wyjaśnienie Giolittiego i Milleranda nie wychodzi poza ramy ogólnych frazesów i bezbarwości. W deklaracji jest dużo niejasnych miejsc, jedno jednak jest jasne, że **mimo umiarkowanych wyrazów obstaje się przy dotychczasowej polityce zwycięzców.** — »Vorwaerts« nazywa deklarację artykułem wstępnym »Tempsa«. Zdanie, że spokój nie-kompletnie rozwiązał problemat europejski, jest szpilką dla Anglji.

Horsea, 16 września (PAT). Omawiając rezultaty konferencji w Aix-les-Bains pisze »Daily Chronicle«, że Włochy najwidoczniej uczyniły ustępstwo na rzecz Francji. Żałuje jednakże, dlaczego poświęconą zostanie konferencja genewska. »Daily News« pisze, że premjer francuski skorzystał z pierwszej okazji, aby ogłosić publicznie, że w kołach interesowanych było już dostatecznie wiadome, iż zamierzona konferencja w Genewie chwilowo się nie odbędzie. Jest to, zdaniem »Daily News«, tem bardziej pożałowania godne, że konferencja w Genewie miała być dalszym ciągiem konferencji w Spaa i że gotowy materjał informacyjny...

...dzie przeglądanie towarów wysyłanych i przysyłanych oraz kontrola pakunków podróżnych i pociągów. Biuro urzędu, które jest otwarte przez cały dzień i noc, znajduje się tymczasowo przy ekspozyturze policji na dworcu głównym.

TOWARZYSTWO „KRESÓW POŁUDNIOWYCH". W myśl uchwały zjazdu delegatów narodowego Komitetu obrony Śpisza i Orawy, który odbył się z inicjatywy komitetu plebiscytowego spisko-orawskiego w Zakopanem dnia 8 bm., nastąpić ma w najbliższym czasie przekształcenie Komitetu w „Towarzystwo kresów południowych". Wybrana komisja statutowa przedłoży na następnym zjeździe projekt statutu nowego Towarzystwa. W tym celu zarząd główny narodowego Komitetu obrony Śpisza i Orawy wzywa wszystkie komitety miejscowe do wysłania delegatów na zjazd, który odbędzie się w Zakopanem dnia 19 bm. w sali Dworca Tatrzańskiego o godz. 11 przed poł., celem uchwalenia statutu i ukonstytuowania Towarzystwa.

KONSUL CZESKO-SŁOWACKI W KRAKOWIE — odmawia w dalszym ciągu wiz na paszportach dla nauczycielstwa szkół polskich na Morawach: „Możecie drugi i trzeci raz ogłosić to w gazetach, nie podpiszę". Zarząd główny T. S. L. zawiadomił o tej obraźliwej działalności p. konsula polskiego w Pradze. Czeski minister oświaty, Habermann, daje pozwolenie na uczenie polskim poddanym, a niższy funkcjonarjusz tego samego państwa przekreśla zarządzenia swego rządu centralnego i jeszcze niegrzecznie się z polską klientelą obchodzi. Ładny reprezentant państwa!

CZAS OTWIERANIA SKLEPÓW I RESTAURACYJ. Na murach miasta Krakowa rozlepiono rozporządzenie na podstawie którego w dnie powszednie mają być otwarte:

Sklepy z drobną sprzedażą artykułów spożywczych

...prawy p... ny Śląsk, zostali przez tamtejsze władze aresztowani, a następnie wydani w ręce polskie. Dezerterzy przebywali przez dłuższy czas w barakach w Dąbiu pod Krakowem, gdzie specjalna komisja po zbadaniu ich stopnia winy, odstąpiła ich tutejszej prokuratorji wojskowej. Wczoraj trybunał doraźny rozpatrywał sprawy Tobjasza Kopelza, Józefa Goldberga, Moszka Kurzfelda, Izraela Brueckner, Izaaka Salzmanna, Moszka Białka, Mejera Kozłowskiego, Szmula Hirschberga, Szmula Retinera, Natana Muonza, Hila Mejera Woźnicy, Abrahama Stahla, Józefa Beigelmachera, Nusyna Gottlieba i Józefa Kużuszarza. Na początku rozprawy obrońcy zaznaczyli, że oskarżenie obwinionych nie kwalifikuje się do rozpatrywania przed sądem doraźnym, ponieważ czternastodniowy termin przygotowawczy do stawienia oskarżonego przed sądem doraźnym, przewidziany ustawą, już minął, — wreszcie, ponieważ sądy doraźne nad dezerterami, którzy zbiegli przed ogłoszeniem rozporządzenia i przebywali w Katowicach, a więc poza krajem, nie zostały w przepisany sposób ogłoszone. W dalszym ciągu obrońcy po umotywowaniu wniosków prosili o przekazanie spraw zwykłemu trybunałowi. Trybunał doraźny, przeprowadzając każdą sprawę osobno, badał okoliczności, podane przez obrońców i przychyliwszy się do ich wniosków, przekazał wszystkich 15 oskarżonych do postępowania zwyczajnego.

Z KRONIKI KRADZIEŻY. Aresztowano w Podgórzu przy ul. Czarnieckiego niejaką Julję Dydoń, lat 19, pochodzącą z Radomia za kradzież 20.000 mk. w gotówce na szkodę Garusów w Częstochowie. Dydoniówna po dokonaniu kradzieży zbiegła z Krakowa.

Aresztowano Stanisława Czerlaka, lat 30, czeladnika krawieckiego, poszukiwanego przez sąd w Ostrowie (Poznańskie) za kradzież.

Za współudział w kradzieży garderoby damskiej na

„Reforma" 17/czerwca 1920.

lensam Brusiłow? Czy nie mieliśmy próby rządów carsko-rosyjskich we Lwowie? Czy bolszewicy w danym razie postępowaliby inaczej? Raczej zdawać się może, iż najazd rosyjski, przez kogokolwiek byłby on dokonany, niósłby Polsce niewolę i zagładę. Czy Rosja »jutrzejsza« postąpiłaby inaczej, gdyby nas zawojowała? — wolno powątpiewać.

Tak więc poszukiwanie »prawdziwej Rosji« musi być dla Polaka zawsze czemś kłopotliwem, bo życie przedstawiło nieomylne dowody, że Rosja w stosunku do nas była i będzie zawsze tasama, bez względu na ferменty, jakie będą się wytwarzać w potwornym jej organiźmie.

Z tego nie wynika, że należy stać się zwolennikiem rezygnacji w stosunku do Rosji. W narodzie naszym tkwią przecież olbrzymie siły twórcze i ideowe, a tylko musimy zyskać czas, abyśmy mogli przyśpieszyć wydobycie się ich i rozwój w okresie oby najdłuższego pokoju. — Tylko pokój może być tym dobroczynnym sprawcą pomnożenia naszych sił, abyśmy się stali samoistnie i skutecznie zdolnymi do nowej samoobrony, gdyby tego zaszła potrzeba.

Chodzi o jasne postawienie kwestji. Delegaci nasi pojechali do Rygi, aby tam zawrzeć honorowy, oparty na dobrej obustronnej woli, pokój porozumienia. Pojechali układać się z tą Rosją, jaka jest dzisiaj, bo z nią toczy się wojna i tylko z nią można ewentualnie doprowadzić do zawarcia pokoju. Nie mogą przecież układać się z Rosją »jutrzejszą«, bo tej jeszcze niema, a na pojawienie się jej musielibyśmy

Sąd jeneralski.

Warszawa, 17 września (Tel. wł.) Jenerałowie: Zieliński, J. Haller, Gołogórski i Leśniewski powołani zostali **do utworzenia sądu jeneralskiego.**

Zadaniem tego sądu będzie rozpatrywanie spraw, związanych z zarzutem, dotyczącemi **opieszałości w wykonaniu powierzonych zadań wojskowych** poszczególnym dowódcom.

Min. Sapieha o stosunkach polsko-węgierskich.

Budapeszt, 17 września (B. K.) Warszawski korespondent dziennika »Az Est« miał wywiad z ministrem spraw zagranicznych Sapiehą, który oświadczył, że w czasie wojny było dla Polaków niezrozumiałe, iż Węgrzy z taką energją popierali politykę dwuprzymierza. Mimo to **może minister zapewnić Węgrów o sympatjach ze strony narodu polskiego.** Sympatje te powiększyły się jeszcze przez okoliczność, że w czasie, kiedy armja bolszewicka stała pod Warszawą, deputacja węgierska w półurzędowej formie zaofiarowała Polsce pomoc węgierskiej armji narodowej przeciwko bolszewikom. **Zbliżenie się między Węgrami a Polską jest pożądane dla obu stron.** Na pytanie korespondenta, czy współdziałanie Polski z Rumunją nie utrudni dojścia do skutku platformy polsko-węgierskiej, odpowiedział Sapieha, iż sądzi, że będzie możliwe znalezienie drogi. **Współdzia-**

STEFAN GRABIŃSKI.

GEBROWIE.

(Dokończenie).

— Pyrofila! Pyrofila! — poszedł szmer po tłumie.

— Kochanku mój — szeptała kobieta, tuląc do ametystowego pektorału Athrarvana — Czyż nie jestem młodą i pełną życia? Czyż nie stokroć piękniejszą rzeczywistością myśli ta chłodna i zimna kraina ideału, o której zresztą tak pięknie nam mówisz? Pójdź ze mną pomiędzy braci i kochaj jak inni!

I podawała mu karminowe usta.

Lecz Athrarvan z błyskiem dzikiego gnibru w oczach odtrącił ją na odległość ramienia i nagle piorunowym ruchem wyciągnąwszy z za pasa nóż ofiarny, zatopił go w piersi Pyrofili.

— Giń ladacznico!

Upadła bez jęku, krasząc stopnie ołtarza rubinami krwi młodej, zapędnej.

A on, podnosząc w górę ramię z ociekającym posoką nożem, zwrócił się z fanatyczną apostrofą do oniemiałego z przerażenia tłumu:

— Ofiarowałem ją Ormuzdowi. Krew jej, przelana na ołtarzu Ognia, niech przyniesie zwycięstwo duchowi światła i prawdy w walce z Ahrymanem o świat, toczącej się od prawieków.

Tu rzucił zbroczony krwią puginał w środek ogniska i wyrwawszy z pierścienia płonącą żagiew, pochylił ją w linji poziomej:

— Bracia! Jakżem szczęśliwy, jakżem rad! Nadeszła chwila niezwykła, wybiła godzina przesilu. Bracia! Stańmy się ośrodkiem ludzkości, symbolem jej walczącej w krwawym pocie o wyzwolenie duszy! Bracia! Ofiarujmy życia nasze za grzechy świata! Przywróćmy czystość Świętemu Agni, spalając się cicho w Jego płomieniach! Gdy z ciał naszych pozostaną tylko zgliszcza, gdy wiatr rozniesie na krańce świata popioły naszych kości, zabłyśnie dzień zwycięstwa Dobra i Jasności. Wtedy Ogień przerodzi się w Światło i Ormuzd święcić będzie triumf Dnia Prawdy. Bracia! Chrystusem ludzkości bądźmy! Przez ogień oczyśćmy i zbawmy świat! Hosanna, bracia, hosanna!

I z błyszczącemi szaleństwem oczyma podsunął żagiew pod kotarę świątyni...

Nastąpiła szczególna, jedyna w swym rodzaju przemiana. Czad krwi przelanej, fanatyzm Athrarvana, widok płonącej zasłony podziałały na tłum z mocą suggestji Dziwna logika rzuciła te dusze obłąkane na szlaki szaleńczej ideologji: poddali się woli arcykapłana. Kilkadziesiąt rąk wyciągnęło się po gorejące lampy, kaganki, świeczniki i zdobywszy je w mgnieniu oka, zaczęło podkładać ogień pod ściany sali...

Wkrótce zajęły się drewniane obicia, zatliła podłoga. Wśród kłębów dymu przewalających się po sali, przemykały postacie szalonych podpalaczy, dusiły się kapłańskie fezy, turbany i ureusy. Wzdłuż ścian, pomiędzy żertwnikami, po stopniach piramidy czołgały się przeguby ognia, dźwigały czerwone łby, jeżyły krwawe grzywy...

Na platformie szczytowej w wieńcu ognistych języków klęczał Athrarvan, zatopiony w mistycznej zadumie. A gdy już z dołu doszły go jęki duszących się ofiar, gdy złota obręcz Agni zaciskać się jęła wkoło niego coraz węższym pierścieniem i płomienie lizały mu stopy, zaintonował hymn potężny i groźny zarazem:

Dies irae, dies illa
Solvet saeclum in favilla...

A z dołu, z otchłani ognia i dymów odpowiedział mu chór umęczonych głosów:

Recordare, Jesu pie,
Quod sum causa Tuae viae:
Ne me perdas illa die...

— — — — — — — — —

Nad ranem, gdy już pogasły gwiazdy i blada jutrznia zaświtała na niebie, pozostały z zakładu dr Ludzimirskiego tylko dymiące zgliszcza: zgorzał doszczętnie w płomieniach obłąkańczej autodafe.

———c———

na którem rozpatrywano **główne sprawy natury gospodarczej.**

Między innemi omawiano sprawę określenia **minimum egzystencji, od którego należałoby już pobierać podatki bezpośrednie.**

Warszawa, 17 września (PAT). Prezydjum rady ministrów komunikuje: Rada ministrów na posiedzeniu z dnia 16 bm. zajmowała się sprawą pomocy dla rolnictwa przez wydatniejsze dostarczenie koni i wozów wojskowych **o raz ograniczeniem sądów doraźnych.** Ponadto załatwiono szereg spraw bieżących, a między innemi przedłużono do dnia 1 listopada 1920 r. termin dla rejestracji emerytur i pretensyj, wynikających ze stosunków służbowych Polaków byłych funkcjonarjuszy cywilnych instytucyj rządowych, samorządowych i publicznych byłego Królestwa Polskiego i cesarstwa rosyjskiego oraz wdów i sierót po nich pozostałych.

Czechizacja Karwiny.

Cieszyn, 17 września (Tel. wł.) W poniedziałek odbyło się w Karwinie posiedzenie komisji administracyjnej. Przewodniczący komisji przemawiał **tylko po czesku** i zapowiedział, że językiem urzędowym będzie **wyłącznie czeski,** przeciw czemu zaprotestowali członkowie polscy i niemieccy, tem więcej, że Czechów jest w Karwinie niespełna 10 proc. Przeszedł też wniosek czeski, według którego we wszystkich pięciu szkołach polskich w pierwszych klasach będzie zaprowadzony wykładowy język czeski, co równa się **zczechizowaniu szkoły.** Niemcom zabrano 1 szkołę. Przeciw tej uchwale członkowie polscy i niemieccy wnieśli również protest.

również polityczne przygotowania, zmierzające do **nowej blokady Rosji,** która ma nareszcie zdławić wielki wpływ rządu sowietów na robotników rosyjskich. Francja zażądała od krajów skandynawskich **wydalenia Litwinowa,** przed czem Danja i Szwecja uległy. Norwegja ma zrobić to samo. Nowy cios przygotowuje się z największą przezornością. Nastąpi ona **jeszcze przed zimą,** gdyż wtedy trudności sowietów będą niesłychane, zwłaszcza jeśli Ukraina i Zagłębie Donieckie będą im odebrane. Moskwa zdaje sobie jasno z tego sprawę i sposobi się gorączkowo do obrony.

Nota Curzona do Cziczerina.

Londyn, 17 września (PAT). Lord Curzon wystosował do Cziczerina notę, w której ponownie domaga się stanowczo **wysłania z Rosji angielskich obywateli,** zatrzymanych tamże, między nimi 61 oficerów, którzy się mają znajdować w rozpaczliwem położeniu aprowizacyjnem.

Pokłosie konferencji w Aix-les-Bains

Paryż, 17 września. Ag. Havasa donosi: »Excelsior« dowiaduje się z Aix-les-Bains«, że wszczęte zostały rokowania w celu doprowadzenia do skutku **nowego spotkania między Millerandem a Lloyd Georgem.** Spotkanie to miałoby nastąpić w Biarritz w ciągu najbliższych dwóch tygodni.

Paryż, 17 września (Biuro kor.) Po swoim powrocie do Włoch wystosował **Giolitti telegram do Milleranda,** w którym wyraża mu swo-

krakowskich biurach, które zajmują się zbiórką daniny dla żołnierza, wzmógł się znacznie, co wskazuje na pewne zrozumienie ogółu ważności tej sprawy. Zaznaczamy, że zbiórka jest nietylko niezbędną, ale i przymusowa, wskutek tego, jak nas informują, w niedługim czasie ma być osobna komisja lotna, która ma urządzać rewizje po domach prywatnych za rzeczami, potrzebnemi dla wojska. Ufamy jednak, że mieszkańcy Krakowa przez obfite daniny nie dopuszczą do uciekania się do tego rodzaju środków zebrania ubrania dla wojska.

POSIEDZENIE RADY PRZYBOCZNEJ JENERALNEGO DELEGATA rządu odbędzie się w Krakowie dnia 19 bm. w Krzysztoforach o godz. 9 rano.

W SPRAWIE POŻYCZKI ODRODZENIA. Sekcja skarbu na pod przewodnictwem prezydenta miasta i przy udziale członków prezydjum odbyła wczoraj posiedzenie, na którem zastanawiano się nad sprawą propagandy pożyczki dobrowolnej (Odrodzenia) i wezwania jeszcze tych obywateli, którzy się do tego obowiązku patrjotycznego nie poczuwają. Dla sprawy tej wybrano obszerną komisję z 25 członków rady m. która wraz z dyrektorem propagandy przeprowadzi w najbliższych dniach żywą akcję.

Pozatem omawiano sprawę jednorazowej daniny odzieżowej dla żołnierza polskiego i sfinansowania jej wobec niedostatecznych środków gminy. W tej sprawie porozumie się prezydent miasta z ministerstwem skarbu. Wkoncu przyznano dla wydz. wojskowego kredyt dodatkowy na pracę połączoną z mobilizacją i rekwizycją potrzeb wojskowych.

ZWOLNIENIE ŻYDÓW OD STAWIENNICTWA W SĄDNYM DNIU. Na rozkaz M. S. W. popisowi wyznania mojżeszowego są zwolnieni od stawiennictwa do przeglądu w dniu 25 września br. i mają się stawić przed komisją w dniu następnym.

POSIEDZENIE SEKCJI SZKOLNEJ. Onegdaj odbyło się pod przewodnictwem wiceprez. Sarego posiedzenie sekcji szkolnej, na którem przyjęto do wiadomości sprawozdanie rady szkolnego p. Dobrzańskiego o obecnym stanie szkolnictwa powszechnego i o prowizorycznem rozmieszczeniu szkół wobec zajęcia wielu budynków szkolnych na inne cele. Następnie

chaniu świadków i wywodach obrońców trybunał skazał Ledwonia na 1½ roku, Pręczkowskiego i Suchana na 15 miesięcy, a Trynkę na 10 miesięcy ciężkiego więzienia z twardem łożem co miesiąc.

W drugiej rozprawie oskarżano M. Śliwińskiego (bronił dr Schlachter), Marję Dronner (bronił dr Scheller) i Ariele Fuksik (bronił dr Drobner). Wedle aktu oskarżenia Śliwiński 10 lutego br. włamał się do mieszkania Antoniego Oprycha i skradł dwie kasety z gotówką 36.000 koron, tudzież biżuterję wartości 30.000 koron. Że skradzionych pieniędzy Śliwiński, jak zeznał, zatrzymał dla siebie tylko 10.000 koron, resztę zaś oddał wraz z biżuterją na przechowanie Dronnerowej i Fuksikowej. Po skończonej rozprawie trybunał skazał Śliwińskiego na jeden rok, Dronnerową na 6 miesięcy, a Fuksikową na 4 miesiące ciężkiego więzienia.

Z KRONIKI KRADZIEŻY. Aresztowano 17-letnią Marję Natkaniec, która na szkodę M. Kapuścińskiej, przebywającej w Krynicy, skradła pewną ilość bielizny znacznej wartości.

Do inspekcji policji doniosła Stefanja Wilczyńska z Chęcin (pow. Kielce), zamieszkała chwilowo w Krakowie przy rynku Kleparskim, że skradziono jej różne rzeczy wartości kilku tysięcy marek.

Wilhelmowi Gartenbergowi, zamieszkałemu w Krakowie skradziono wózek wartości 3000 mk.

Z komórki Ludwiki Gąsowskiej, zamieszkałej w kamienicy V w Mogile skradziono różne rzeczy wartości kilku tysięcy marek.

OKRES WAKACYJNY W ARESZTACH POLICYJNYCH. W ostatnich czasach, jak się okazuje z kronik przestępstw, zmniejszył się nadzwyczajnie w Krakowie wypadki kradzieży, czy napadów rabunkowych, wskutek czego obecnie w aresztach znajduje się zaledwie około 50 osób, pozostających przeważnie pod zarzutem uchylania się od służby wojskowej. Jest to bardzo dobry objaw, wskazuje bowiem na pewne uzdrowienie stosunków w naszem mieście. Zarząd aresztów policyjnych korzystając z małej ilości więźniów przeprowadził staranne odnowienie cel.

KOMUNIKATY I ZAWIADOMIENIA.

LIGA ŻEGLUGI POLSKIEJ. Z inicjatywy Towarzystwa Żegluga Polska w Krakowie odbyło się w dniu 15 bm. w sali tegoż Towarzystwa zebranie założy-

garwoliński pan Podoski z Jarczewa oznajmił władzom powiatowym, że do sekretarza komitetu Obrony Państwa, Kowerskiego przyszły ważne informacje z Warszawy. Mianowicie Naczelnik państwa został zmuszony złożyć władzę. Władzę polityczną i wojskową objęli jenerałowie Haller i Muśnicki. Wskutek przewrotu dyrektor kancelarji Car został rozstrzelany, adjutant przyboczny ppułk. Wieniawa został zmuszony do samobójstwa.

Działo się to w najbardziej krytycznym momencie, w przeddzień ewakuacji Garwolina.

Władze nasze, inspirowane przez żywioły reakcyjne prześladują ludowców za rzekome sprzyjanie bolszewikom. Może więc zajęłyby się takiemi osobistościami, jak pan Podoski i Kowerski, którzy szerząc plotki i kłamstwa, przyczyniali się w obliczu wroga do szerzenia paniki i zamętu.

Zaznaczamy, że na żądanie władz powiatowych spisania z tej sprawy protokołu, delegat min. spraw wewn. p. Dulęba odpowiedział odmownie.

HOŁD ŻOŁNIERZOM ABRAHAMA. Tel. ze Lwowa: Na wczorajszem posiedzeniu rady miasta Lwowa złożono hołd pamięci żołnierzy majora Abrahama poległych w obronie Lwowa dnia 17 sierpnia pod Zadwórzem. Następnie przyjęto wniosek o wysłanie do Płocka pisma z wyrazami hołdu z powodu odparcia najazdu nieprzyjacielskiego, odwzajemniając się w ten sposób za pomoc, jakiej Płock udzielił miastu w lutym roku. Następnie wśród oklasków odczytano pismo Rady obrony stolicy, donoszące o postanowieniu wysłania zbrojnej pomocy dla Lwowa w czasie zbliżania się nieprzyjaciela. Rada obrony stolicy chcąc dać wyraz uczuciom, jakie Warszawa żywi dla Lwowa, przesyła na ręce prezydjum m. Lwowa kwotę 250.000 marek na fundusz stypendyjny dla obrońców Lwowa i wyraża hołd dla bohaterskiej obrony.

Wreszcie oklaskami przyjęto depeszę miasta Budapesztu z gratulacjami i braterskiem pozdrowieniem dla Lwowa, jego mieszkańców i dla sławnej armji polskiej z powodu jej zwycięstwa.

INAUGURACYJNE PRZEDSTAWIENIE W TEATRZE WIELKIM W LUBLINIE. Onegdaj w Teatrze Wielkim w Lublinie, prowadzonym obecnie przez referenta propagandy sztabu dowództwa jeneralnego okręgu Lublin, odbyło się inauguracyjne przedstawie-

„W. Reforme" 18/9 920.